

ALEKSANDER K. SITNIK OFM – WŁOCŁAWEK

### **IZYDOR JÓZEF CHMIEL OFM (1915-1982) WIĘZIEŃ HITLEROWSKICH OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH**

W dobie dyskusji na forum Komisji Europejskiej o wprowadzeniu prawa unijnego, gwarantującego obronę prawd historycznych dotyczących Holocaustu czy tzw. *polskich obozów zagłady*, warto przypomnieć *Wspomnienia* jednego ze świadków ówczesnych wydarzeń. Był nim bernardyn Izydor Józef Chmiel OFM. Urodził się 10 marca 1915 roku w rodzinie Walentego i Bronisławy Ślęzak, zamieszkałej w Łukawcu koło Rzeszowa. W latach 1921-1925 ukończył szkołę powszechną w rodzinnej miejscowości. W 1925 roku zgłosił się do Kolegium Serafickiego bernardynów w Radechnicy, gdzie zaliczył pięć klas gimnazjum. Do Zakonu Braci Mniejszych wstąpił w 1930 roku i odbył roczny nowicjat w Leżajsku. Kontynuował następnie naukę gimnazjalną kończąc klasy VI-VIII w Sokalu. Świactwo dojrzałości otrzymał w Państwowym Gimnazjum im. A. Malczewskiego w Sokalu w 1934 roku. W dwa lata później złożył profesję solemną. Studium zakonne filozoficzno-teologiczne ukończył we Lwowie. W 1939 roku przyjął święcenia prezbiteratu. Przez zarząd prowincji został przeznaczony do klasztoru w Skępem, gdzie uczył katechezy w szkole podstawowej. W październiku tego samego roku został internowany przez Hitlerowców. W lutym 1940 roku przewieziony do więzienia do Grudziądza, w marcu do hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Stutthofie, w kwietniu do obozu w Sachsenhausen, w grudniu do obozu w Dachau. Z tego ostatniego wyswobodziły go wojska alianckie w kwietniu 1945 roku. Wyjechał w tym samym roku do Rzymu. Na Wydziale Prawa Kanonicznego w Pontificio Ateneum Antonianum w 1952 roku uzyskał stopień doktora, na podstawie rozprawy *De magistro novitiorum*. Następnie w tamtejszej studyjnej bibliotece do śmierci pełnił funkcję bibliotekarza. Zmarł na skutek wylewu krwi do mózgu i długiej choroby nowotworowej w 1982 roku w Rzymie<sup>1</sup>.

\* Skróty używane w niniejszej pracy zaczerpnąłem: Wykaz skrótów, w: Encyklopedia Katolicka, oprac. J. Warmiński i in., Lublin 1993.

<sup>1</sup> H. E. Wyczawski, *Bernardyni polscy, 1772-1946*, Kalwaria Zebrzydowska 1992, s. 410-411; tenże, *Chmiel*, SPPF, s. 82-83; APBK fasc. RGP-e-90, Teczka personalna o. Chmiel Izydor Józef (1915-1982), s. 1-401.

Pozostawił po sobie niewielki dorobek pisarski, zaledwie kilka artykułów. Cenną jego pracą są *Wspomnienia* z okresu drugiej wojny światowej. Publikował je w niemal niedostępnym w Polsce miesięczniku „Miesięcznik Franciszkański” (40: 1947-44: 1951, Pulaski). Część zachowała się jednak w maszynopisie włączonym do jego akt personalnych, przechowywanych w Archiwum Prowincji oo. Bernardynów w Krakowie (sygn. RGP-e-90). Stąd postanowiłem zaprezentować *Wspomnienia* Izydora J. Chmiela OFM w niniejszym artykule. Rozpoczął je spisywać w listopadzie 1946 roku mieszkając w Rzymie. Pracę kontynuował do stycznia 1947 roku. *Wspomnienia* obejmują okres od działalności autora w bernardyńskim klasztorze w Skępem w 1939 roku do wyzwolenia z obozu koncentracyjnego w Dachau w kwietniu 1945 roku. Podzielone zostały sztucznie na trzy części: pierwsza prezentuje wspomnienia zawarte w *Ankiecie* przesłanej po wyzwoleniu do kurii prowincjalnej, następne dwie były pisane na użytek publikacji w Rzymie. Jest to zbiór luźnych opowiadań, niekoniecznie łączących się tematycznie i chronologicznie, stąd podzieliłem je na kilkanaście tytułów, zamieszczonych w nawiasach kwadratowych. Oprócz wspomnień autor snuje szereg refleksji, dotyczących przede wszystkim moralności współczesnych mu ludzi. Ponieważ Izidor Chmiel, jak wspominają współbracia, był człowiekiem nie tylko inteligentnym, ale i dowcipnym, jego *Wspomnienia* noszą znamiona tragicomedii. Nie mniej wnoszą wiele cennych, źródłowych informacji na temat hitlerowskich obozów zagłady.

Izidor Józef Chmiel OFM

## ANKIETA. PRZEJŚCIA W CZASIE II. WOJNY ŚWIATOWEJ<sup>2</sup>

[**Aresztowanie**]. W dniu 27 października 1939 roku zostałem aresztowany wraz z ojcami: Albertem Mrozem<sup>3</sup>, gwardianem i Sylwestrem Niewiadomym<sup>4</sup>, wikarym konwentu, i internowany w tymże samym klasztorze skępskim, aż do 23

<sup>2</sup> APBK fasc. RGP-e-90, s. 401 nn.

<sup>3</sup> Mróz Albert Piotr OFM (1892-1972), w 1939 roku przebywał w więzieniu w Grudziądzu, skąd został w krótkim czasie zwolniony. Wraz z Sylwestrem Niewiadomym OFM zamieszkał u parafian w Skępem. Na podstawie donosu, że duszpasterzują w ukryciu, Niewiadomy został aresztowany i przewieziony do obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Mróz zdołał się przedostać do Generalnej Guberni. - Wyczawski, *Bernardyni*, t. 3, s. 411.

<sup>4</sup> Niewiadomy Sylwester Józef OFM (1910-1987), w latach 1937-1939 pełnił urząd wikarego klasztoru w Skępem. 1 października 1939 roku został aresztowany przez Hitlerowców i osadzony w więzieniu w Grudziądzu. W latach 1940-1945 przebywał w obozie koncentracyjnym w Stutthofie. – I. M. Rusecki, *Niewiadomy*, w: *Leksykon duchowieństwa represjonowanego w PRL w latach 1945-1989*, t. 2, red. J. Myszor, Warszawa 2003, s. 201-202; H. E. Wyczawski, *Niewiadomy*, SPPF, s. 342-343; APBK fasc. RGP-e-73, Teczka personalna o. Niewiadomy Sylwester Józef (1910-1987), s. 1-435.

lutego 1940 roku, kiedy to wywieziono nas wraz z pięcioma księżmi diecezjalnymi internowanymi wraz z nami. Nazwisk ich poza dwoma, którzy byli ze mną potem w obozie Stutthof, Oranienburg (Sachsenhausen) i Dachau, [nie pamiętam]. [Ci dwaj] to śp. Ks. proboszcz Krauze z diecezji włocławskiej<sup>5</sup>, i ks. Biedrzycki z diecezji płockiej<sup>6</sup>.

**[Więzienie w Grudziądzu].** Po wywiezieniu ze Skępego w dniu 23 lutego 1940 roku zawieziono nas do więzienia w Grudziądzu, gdzie przebywałem do 4 marca 1940 roku. W tym dniu, pierwszym transportem (oo. Albert i Sylwester zostali w więzieniu i, jak potem się dowiedziałem, zostali po jakimś czasie zwolnieni) przewieziono mnie i kilkudziesięciu innych księży diecezjalnych i zakonnych do obozu w Stutthof.

**[Stutthof].** Pod koniec marca w grupie 60 księży wywieziono nas do małego obozu Grenzdorf, do pracy w kamieniołomach. Byłem tam tylko równy tydzień, gdyż przyszedł rozkaz z Berlina wycofania księży z tego obozu i ze Stutthofu, i przewiezienia ich do Sachsenhausen pod Berlinem. Obóz w Stutthofie był dopiero w fazie rozwoju. Specjalnej pracy nam nie dawano, poza usuwaniem śniegu i wynoszeniem błota, ale i ta praca była dawana tylko dla większego nas szykanowania. Nie było chwili wolnej, aby jakiś esesman nie wpadał do bloku i za najmniejsze, przeważnie urojone przewinienie, karał biciem w niesamowity sposób. Ja byłem na bloku pół-księżowskim, pół-żydowskim. Napatrzyłem się na niesamowite sceny sadyistyczne znęcania się nad tym biednym narodem. Bito i mordowano ludzi naprawdę dla przyjemności. W dniu inwazji Niemców na Francję (kwiecień 1940 roku) wywieziono nas w bydlęcych wagonach do Sachsenhausen.

**[Sachsenhausen].** Zabrano nam wszystko (do chustek włącznie) i umieszczono w tzw. *małym obozie* na kwarantannie. Polegała ona na tym, że przeważnie po całych dniach odbywaliśmy ćwiczenia karne, które pociągały za sobą dzień w dzień liczne ofiary śmiertelne ludzi starszych lub też takich, którzy *podpadli*, czyli praktycznie nie spodobali się jakiemuś esesmanowi. Było naprawdę przykro patrzeć, jak niedorostki 17-20-letnie, sadyści, *uczylili* ludzi starszych czy też nawet w podeszłym wieku. Dla tych zбочeńców sam widok człowieka ułomnego czy starego wystarczał, aby go skazać na śmierć i z miejsca własnoręcznie wyrok wykonać, przeważnie nieludzkim biciem. Nie sposób opisać wszystko. Do zanotowania jednak jest ten fakt, że we wszystkich obozach nas księży specjalnie szykanowano we wszystkie święta Matki Najświętszej. Czasami wydawało się, że otwarło się piekło i wyskoczyła z niego zgraja szatanów, aby się nad nami znęcać. W Sachsenhausen zaś pamiętna była oktawa Najświętszego Serca Jezusowego. Przez osiem dni bez przerwy ćwiczenia karne. Ludzie padali i my musieliśmy po nich biegać. A jeśli kto omijał leżącego, bito i jego i innych kijami, oderwanymi nogami od stołów lub czym popadło. Drugim wydarzeniem, ale już innego, po-

<sup>5</sup> Krauze Edmund ks. (1887-1940), zmarł w maju lub czerwcu w Sachsenhausen. – Martyrologium I, s. 219.

<sup>6</sup> Biedrzycki Stanisław ks., aresztowany w 1939 roku w Skępem i osadzony w więzieniu w Grudziądzu. Przeszedł przez obozy koncentracyjne w Stutthofie, Sachsenhausen i w latach 1940-1945 przebywał w Dachau. – Martyrologium II, s. 283.

wiedziałbym Bożego rodzaju, to pozwolenie na kaplicę i na celebrowanie jednej Mszy św. przez *kapelana*, którym był ks. dziekan Prabucki<sup>7</sup>, jeden z trzech braci-księży uwięzionych (wszyscy trzej zginęli bodajże w Dachau) z diecezji chełmińskiej. Mogliśmy codziennie przystępować do Komunii św., mimo iż korzystanie z tej kaplicy musieliśmy *opłacać* nowymi szykanami.

Chciałbym dodać, iż trzy razy byłem już o krok od śmierci i dzięki miłosierdziu Bożemu ocalałem. Pierwszy raz w Stutthofie. Wezwano nas wszystkich księży na placyk, obstawiono karabinami maszynowymi i trzymano nas tak ponad godzinę. Podobno był rozkaz nas wystrzelać, ale w ostatniej chwili rozkaz odwołano. Drugi raz w Sachsenhausen. Zaraz na początku nabawiłem się wrzodów na nogach. Rozpoczęło się od obtarcia nogi przez niedopasowany but. Na jednej [nodze] miałem 17, a na drugiej 18 [wrzodów]. Nie mogłem chodzić, a tymczasem właśnie na jesieni, kiedy rozpoczęły się deszcze, zaczęto nas pędzić do pracy. Wywijałem się jak mogłem, ale nic nie pomogło. Jakimś zrządzeniem Bożym, przypadkiem potrzeba było człowieka do czyszczenia okien w stolarni i w kuźni. Zgłosiłem się wraz ze śp. o. Kałużą<sup>8</sup>, jezuitą, znanym mi z publikacji przedwojennych. Przyjęto nas: jego do kuźni, a mnie do stolarni. Powiedziano mi, że szefem stolarni jest sierżant esesman *dziki*, który jak zaczyna bić, to aż do zabicia katuje swoją ofiarę. Nie wiem dlaczego, ale jakoś przypadłem mu do gustu i czasami nawet raczył się do mnie uśmiechać. Jednego wieczoru starszy bloku wezwał mnie i o. Kałużę i orzekł, że mamy następnego dnia iść do pracy razem z innymi nosić darnie, a nie do czyszczenia okien. Kiedy zaś o. Kałuża, również z bardzo dużą raną na nodze, zwrócił mu uwagę, że nie możemy chodzić, powiedział nam, iż jeżeli jutro nie pójdziemy do pracy, to zapisze nas na transport inwalidów, który następnego ranka miał właśnie odejść, co równało się komorze gazowej. Chodzić istotnie nie mogliśmy, więc nie było co robić. Następnego dnia rano, ledwie odbył się apel, nasz starszy bloku wezwał mnie i o. Kałużę, aby nas poprowadzić tam, gdzie zbierał się transport. Bóg jednak miał widać inne zamiary. Obok naszego bloku księży zbierała się grupa właśnie stolarzy i przychodził po nią przeważnie sam szef, tenże sierżant esesman, o którym wyżej wspomniałem. Tego dnia przyszedł nawet wcześniej i już dał znak grupie do odejścia do pracy, kiedy starszy grupy mu zameldował, że brakuje *Fensterputzer*. Esesman mnie zobaczył stojącego wraz z o. Kałużą i starszym bloku na boku i zaraz tego ostatniego pytał, czemu nie idę do pracy? A starszy bloku, Niemiec, chcąc się chyba przypodobać, powiedział, że jesteśmy *Kryple* i prowadzi nas do komory gazowej. Dostał w pysk i tak silnego kopniaka, że odleciał parę kroków, a nam kazał iść do roboty, tzn. do czyszczenia. Tenże esesman naszedł mnie znienacka, kiedy zamiast czyszczenia okien (i tak były czyste, ale musiało się je stale czyścić) robiłem sobie malutką cygarniczkę. Esesman popatrzył najpierw na mnie, potem na tę cygarniczkę, i bez

<sup>7</sup> Bracia księża Prabuccy Alojzy, Bolesław i Paweł zmarli w Dachau w 1942 roku – *Martyrologium I*, s. 103.

<sup>8</sup> Kałuża Franciszek SJ (1877-1941), w 1939 roku został osadzony w więzieniu w Cieszynie. Przewieziony następnie do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Od grudnia 1940 roku przebywał w Dachau, gdzie zmarł. – *Encyklopedia wiedzy o jezuitach na ziemiach Polski i Litwy, 1564-1995*, oprac. L. Grzebień, Kraków 1996, s. 263.

słowa, spokojnie wziął do ręki spory kawałek żelaznej sztaby i zaczął ją powoli podnosić do góry. Pomyślałem: to już koniec. Dla esesmanów w tym okresie zabicie człowieka w ogóle było prawie zabawką, a ten specjalnie był znany z okrucieństwa. Poleciałem duszę Bogu i niemy z wrażenia, czekałem, patrząc na niego, co nastąpi. Podniesiona do góry sztaba spadła nagle na tę moją nieszczęsną cygarniczkę, miażdżąc ją kompletnie. Wtedy esesman rzucił tę sztabę, popatrzył się na mnie jakby chciał mi powiedzieć, że mógł i ze mną podobnie zrobić, i uśmiechając się lekko powiedział: „An die Arbeit!”

W lecie w 1940 roku przywieziono do Sachsenhausen śp. o. Wiktoryna Rudolfa<sup>9</sup> i o. Albina Białogłowskiego<sup>10</sup>. Mieszkali na innym bloku i widywanie się z nimi było utrudnione. Wspomogli mnie pieniądze, zwłaszcza o. Wiktoryn, któremu udało się przemyścić nieco więcej pieniędzy, aniżeli pozwalał na to regulamin. A jeśli już mowa o pomocy, to chciałbym podkreślić, iż przez cały czas mojego pobytu w Sachsenhausen (kwiecień – grudzień 1940 roku) pomagali mi na prawdę i po koleżeńsku i po bratersku: śp. kanclerz kurii lubelskiej ks. Ochalski<sup>11</sup>, obecny kanclerz ks. Olech<sup>12</sup>, oraz profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego śp. ks. Salamucha<sup>13</sup> i ks. Marian Michalski<sup>14</sup>.

**Dachau.** W grudniu 1940 roku wywieziono z Sachsenhausen wszystkich księży do Dachau. Przyjechaliśmy przed samymi świętami Bożego Narodzenia. Spotkałem tam już przybyłego nieco wcześniej z Oświęcimia o. Emila Serokę<sup>15</sup>. Ledwie go poznałem, tak był zabiedzony. Było więc nas czterech ojców z naszej prowincji. Trudno tutaj opisać wszystkie szykany i cierpienia, na jakie byliśmy

<sup>9</sup> Rudolf Wiktoryn aresztowany jako gwardian klasztoru w Kole w 1940 roku. Przebywał w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu, następnie w Dachau. Zginął w komorze gazowej w 1942 roku – Wyczawski, *Bernardyni*, t. 3, s. 411.

<sup>10</sup> Białogłowski Albin Andrzej OFM (1906-1993), w 1939 roku został aresztowany przez hitlerowców na sześć tygodni w Przeworsku. W 1940 roku został ponownie aresztowany, następnie skierowany do obozu koncentracyjnego najpierw w Sachsenhausen, a później do Dachau. Miał numer obozowy 22460. – APBK fasc. RGP-e-84, Teczka personalna o. Białogłowski Albin Andrzej (1906-1993), s. 1-332.

<sup>11</sup> Ochalski Zdzisław ks. (1902-1942), więzień nr 22413 w Dachau. – Martyrologium I, s. 138.

<sup>12</sup> Olech Wojciech ks. Aresztowany w 1939 roku i osadzony na Zamku w Lublinie. Przeszedł przez obozy koncentracyjne w Sachsenhausen i Dachau, skąd został wyzwolony w 1945 roku – Martyrologium III, s. 268.

<sup>13</sup> Salamucha Jan ks. (1903-1944) aresztowany z profesorami UJ w Krakowie w 1939 roku. Przeszedł przez więzienia w Krakowie i Wrocławiu oraz obozy koncentracyjne w Sachsenhausen i Dachau. – S. Piech, *Salamucha*, PSB XXXIV, s. 354; J. Kracik, *Salamucha*, SPTK VII, s. 73.

<sup>14</sup> Michalski Marian ks. aresztowany z profesorami UJ w Krakowie w 1939 roku. Przeszedł przez więzienia w Krakowie i Wrocławiu oraz obozy koncentracyjne w Sachsenhausen i Dachau. Zwolniony w 1941 roku – Martyrologium III, s. 105-106.

<sup>15</sup> Seroka Emil Józef OFM (1910-1988), w latach 1935-1940 pracował w klasztorze w Radecknicy. W 1940 roku został aresztowany przez gestapo. Od sierpnia do września 1940 roku był więziony w Zamościu, następnie od września do października w Lublinie. W październiku został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie przebywał do grudnia. W obozie koncentracyjnym w Dachau przebywał od grudnia 1940 roku do kwietnia 1945 roku – H. E. Wyczawski, *Seroka*, SPPF, s. 435-437.

narażeni przede wszystkim księży, po Żydach element najgorszy, jak się nasi *stróże* wyrażali, a księży polscy w szczególności. Cztery i pół roku pobytu w Dachau wielokrotnie dało nam poznać i odczuć nieustanną opiekę Bożą i Matki Najświętszej nad nami. Nie było większego święta bez specjalnych dla nas księży szykan, a już każde święto Matki Najświętszej przynosiło jakąś zmianę na lepsze, jakkolwiek było poprzedzane niekiedy niedającymi się opisać szykanami. Pobyt w obozie Dachau można by podzielić na trzy okresy: początkowy, najgorszy, kiedy człowiek ostatkami sił się trzymał na nogach. Okres od jesieni 1942 roku, czyli od momentu otrzymywania paczek z domu, czyli okres powolnego przychodzenia do siebie, nawet pomimo panującego tyfusu. I wreszcie okres względnej swobody, aż do uwolnienia.

W 1942 roku, a więc w okresie najcięższym, przybył duży transport polskich księży, przeważnie z diecezji wrocławskiej, wraz z ks. bpem Kozalem<sup>16</sup>, a wśród nich nasz o. Anastazy Pankiewicz<sup>17</sup> i br. Władysław Gołębiowski<sup>18</sup>. Szybko porozumiałem się z nimi tym bardziej, że br. Władzio był przecież w Kolegium naszym *stróżem*, a o. Anastazego poznałem bodaj w 1938 roku we Lwowie, kiedy to przyjechał po zatwierdzenie planu na gimnazjum w Łodzi. Władzio mnie pamiętał, natomiast o. Anastazy oczywiście nie mógł przypomnieć sobie [kolejne karty zostały usunięte].

#### PARĘ WSPOMNIENI Z PRZEŻYĆ OBOZOWYCH, cz. 1.

**[Wstęp].** Pisać coś o obozie, tzn. na nowo przeżywać te nieprzyjemne, potwornie ciężkie i straszne dni, tygodnie, miesiące i lata, a to dla piszącego bynajmniej nie jest zachęcającym. Jest to też pierwszy powód, dla którego tak opieszale zabieram się do tej pracy. Drugim powodem o całe niebo ważniejszym od pierwszego, jest umiejętność przedstawiania tego wszystkiego. Trudno bowiem żądać od szewca, aby postawił ładny i zgrabny dom, a od kowala, aby uszył dobre i szykowne ubranie. Gdyby było przeciwnie, byłby to fenomen lub ... obóz. Tylko tutaj takie rzeczy były możliwe do urzeczywistnienia. Tutaj w obozie, zwyczajny niemiecki kowal był szefem szpitala, a kupiec i handlarz konfekcyjny budowniczym czy też ogrodnikiem.

Na szczęście było to możliwe tylko w obozie, a fenomeny, geniusze rodzą się ponoć raz na sto lat. Stąd to moje obawy są zupełnie uzasadnione. Nie wystarczy przecież mieć li tylko materiał i z niego zrobić żądany przedmiot, lecz trzeba przede wszystkim posiadać umiejętność przekształcania tego materiału, czyli

<sup>16</sup> Kozal Michał bp (1893-1943), od grudnia 1941 roku więzień obozu w Dachau, gdzie zmarł. – S. Librowski, *Kozal*, PSB XIV, s. 601.

<sup>17</sup> Pankiewicz Anastazy Jakub OFM (1882-1942) aresztowany i osadzony w więzieniu w Łodzi w 1940 roku. Następnie przetransportowany do obozu koncentracyjnego w Dachau. Zmarł w komorze gazowej. – H. E. Wyczawski, *Pankiewicz*, PSB XXV, s. 129.

<sup>18</sup> Władysław Gołębiowski brat zakonny, aresztowany w klasztorze w Kole w 1940 roku. Przebywał w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu, następnie w Dachau. Zginął w komorze gazowej w 1942 roku – Wyczawski, *Bernardini*, t. 3, s. 411.

trzeba umieć nadać mu odpowiednią formę. To zaś leży daleko poza nawiasem moich możliwości. Jeżeli więc zabieram się do skreślenia paru wspomnień, to przystępuję do tej pracy nie jako fachowiec, ale po prostu jako zwyczajny laik, któremu bynajmniej nie zależy na formie i stylu, lecz na właściwej rzeczy. Zresztą piszę to nie dla ogółu, ale dla osób, które jeśli będą to czytać, to nie w tym celu, aby potem krytykować może mój język i styl, lecz aby bodaj w przybliżeniu wytworzyć sobie sąd o tym, jak to tam w obozie było.

\* \* \* \* \*

[Obóz]. Już przed wojną obijał mi się o uszy często wyraz *obóz koncentracyjny*. Przyznam się jednak, że ani w części nie przedstawiałem sobie tego tak, jak zobaczyłem trochę później. Wydaje mi się, że wielu innych ludzi, którzy się z tym zetknęli, wyrobili sobie błędny sąd. Przecież, aby obóz poznać nie wystarczy przeczytać parę, choćby najbardziej plastycznie opisujących artykułów czy nawet książek. Artykuł czy książkę pisał jeden człowiek, podczas gdy na układ życia w obozie składało się setki i tysiące ludzi. I ilu było tych ludzi, tyle było poszczególnych tragedii, tyle poszczególnych książek. Jeden człowiek, choćby był Sienkiewiczem, Szekspirem czy Dantem, nie jest w stanie odmalować tej głębi nędzy i poniżenia z jednej strony, a tego wyrafinowanego sadyzmu i poniżającego upodlenia z drugiej strony. Ileż to tragedii cichych, nikomu nie znanych, rozgrywało się za tymi kolczastymi drutami? Czyż znajdzie się kto, który by śmiał twierdzić, że on przeszedł najwięcej? Czyż tylko cierpienie fizyczne i krzywdy materialne należy brać pod uwagę? Czy cierpienia moralne w swoim dynamizmie nie przewyższają nieraz nawet najcięższych cierpień fizycznych? Sąd więc nad tym pozostawmy Temu, który zna najskrytsze tajniki serc ludzkich i potrafi w nich czytać jak w otwartej księdze.

Powiadają ludzie, że historia stale się powtarza. Zgadzam się z tym najzupełniej. Nie myślę tutaj nad tym zbyt wiele, gdyż to minęłoby się z moim celem. Wystarczy przywieść na pamięć czasy okrutnych cesarów rzymskich i porównać z czasami naszymi. Czyż obecnie opuszczone Koloseum rzymskie to nie pierwowzór obozów koncentracyjnych? Słusznie mogą ubiegać się o palmę pierwszeństwa, które z nich więcej i w bardziej wyrafinowany sposób pochłonęło ofiar? Tak w pierwszym, jak i w drugim wypadku, światem władali *nadludzie* – ofiarami były tylko *rzeczy*. Wcześniejsze czasy już przeminęły i historia wydała już swój sąd o nich, na zakończenie tego drugiego aktu czekamy wszyscy z upragnieniem. Oby historia chciała unikać chociaż niektórych błędów, jakie popełniono w tamtych czasach.

Aby dobrze zrozumieć psychikę życia obozowego, pamiętać trzeba o jednej rzeczy: w obozie nie było ludzi. Z chwilą przestąpienia bramy każdy osobnik tracił autonomiczne prawa ludzkie. Stawał się po prostu rzeczą i nic więcej. Jakże często powtarzano nam trzy wyrazy: „ehrenlos”, „willenos” i „wehrlos”. Czegoż więcej potrzeba było, aby jeszcze bardziej poniżyć godność ludzką? Byliśmy pospolitymi zbrodniarzami, zdanymi na łaskę sędziów. Ci zaś sędziowie i wychowawcy z jakimś wyszukaniem okrucieństwem i wyrafinowanym sadyzmem speł-

niali swoje funkcje. Mógłbym na palcach obu rąk policzyć tych wszystkich naszych *opiekunów*, którzy zdradzali odrobinę uczuć ludzkich.

Nieraz zastanawiałem się długo nad tym, skąd się właściwie bierze to zimne okrucieństwo, z jakim pastwili się nad swoją ofiarą? Trudno mi przypuścić, aby u każdego człowieka czaiły się gdzieś w jego podświadomości takie zwierzęce instynkty. Pewnie, że odpowiednie wychowanie ogromnie sprzyja takiemu rozwojowi, lecz przykłady stwierdzają, że ludzie nawet bardzo dobrze wychowani ulegali z czasem takiemu zwyrodnieniu i to nawet w dużym stopniu. Kiedy o tym myślę, stale przychodzą mi na pamięć dwa wypadki, jakie miały miejsce bezpośrednio przy i po naszym uwolnieniu. Pierwszy to rozstrzelanie na miejscu naszych strażników z wieży. Drugi to przedstawienie nam publicznie jednego z naszych ciemiężców mocno obitego i pokrwawionego. Nie mogłem na to patrzeć. Nie dlatego, jakobym nie uznawał ich winy. Ja nie aprobowałem sposobu jedynie, w jaki ich potraktowano. Przecież można to było wykonać równie dobrze w inny zupełnie sposób. Ale zostawmy to na boku. Wspomniałem wyżej o naszym uwolnieniu. Otóż chciałbym bodaj w nieudolny sposób opisać ten moment.

**[Wyzwolenie].** Niedziela 29 kwietnia 1945 roku. Zapewne i ten dzień nie różniłby się wiele od tylu setek innych podobnych, które przepędziłem w obozie, gdyby nie fakt uwolnienia nas. Już od poprzedniej niedzieli w całym obozie i poza nim, dawało się odczuć ogromne podniecenie, spowodowane wypadkami wojennymi. Front zbliżał się do nas coraz bardziej. Codziennie przychodziły do obozu resztki ludzi ewakuowanych z innych łagrów, niosąc ze sobą śmierć i tak już w zastraszający sposób panoszącą się w obozie. Esesmani znaczniejsi wywozili początkowo dyskretnie, potem zupełnie już otwarcie swoje rzeczy i rodziny w góry, gdzie miał być zorganizowany mocny opór najeźdźcy. Rozprężenie panowało dość duże, chociaż gorliwsi starali się jeszcze jako tako utrzymać porządek. Głód był wielki i żadnych zapasów. Ostatni raz poszliśmy do roboty we środę, przed tą sławną niedzielą. We czwartek kazano nam zostać w obozie i czekać rozkazów. Jakoż około godziny 10 przyszedł rozkaz, aby na godzinę 11. wszyscy byli gotowi do ewakuacji. Ruchu i zamieszania jakie powstało nie da się opisać. Z tym nikt się zasadniczo nie liczył. Kiedy znaleźliśmy się na placu z rzeczami, wywołano jedynie Niemców i inne mniejsze narodowości, i rusków. Reszta wróciła na bloki, ale mowy nie było o jakimś spokoju, bo coraz ktoś przylatywał z jakimś rozkazem, przeważnie nie możliwym do wykonania. Często przynoszono rozkazy wprost sprzeczne ze sobą, co potęgowało tylko zamęt i tak już niemały. Obóz przedstawiał widok ogromnego śmietniska, bo każdy licząc się z wcześniejszą czy późniejszą ewakuacją, wyrzucał wszystko, co mu było zbyteczne. Przeznaczeni na transport wyszli z obozu dopiero późnym wieczorem. Podniecenie wśród więźniów było ogromne. Tysiące pytań i odpowiedzi przelatywało z ust do ust. Każda odpowiedź inna i każda nowa, straszniejsza od poprzedniej. Trzeba tutaj oddać sprawiedliwość elementom tchórzliwym, że przez szerzenie niesamowitych wieści i historyjek, potrafili przewrócić w głowach nawet najbardziej zrównoważonym i trzeźwo myślącym. Zamęt, jaki powstał za dnia, uspokoiła trochę noc. Na próżno czekaliśmy alarmu lotniczego.



Piątek rano. Podniecenie poprzedniego dnia jeszcze wezbrało na sile, gdyż niepewność, co będzie z nami, trawiła każdego. Jeśli się widziało na czyjejs twarzy uśmiech, to był on mocno wymuszony. Zresztą kto tam na to zważał? Około godziny 10 przyszedł rozkaz, aby na godzinę 11 wszyscy byli gotowi do drogi. To wystarczyło. Powstał niesamowity ruch, krzyk, hałas i ogromne zamieszanie, powiększone brakiem miejsca. Trudno, aby w maleńkiej sali, gdzie stało jeszcze w dodatku osiem stołów, mogło się poruszać swobodnie 380 ludzi. W trakcie przygotowywania do wymarszu przyniesiono nowy rozkaz, że słabi na nogi i chorzy mogą zostać. To dopełniło miary. Co tu wybrać? Oto był problem, nad którym większość łamała sobie głowę. Wiedzieliśmy z obserwacji ostatnich dni, jak takie ewakuacje wyglądały. Z kilku tysięcy przychodziło do celu czasem stu, czasem więcej, a czasem mniej. Reszta padała po drodze z wyczerpania zbyt forsownym marszem, dobijana przez litościwych strażników. Młodzi i zdrowi mieli pewne szanse dojścia do celu, ale jaki to był cel, i co potem? Świadomość, że front blisko, powiększała jeszcze obawy, bo któż nam mógł zaręczyć, że strażnicy dla ratowania siebie nie wystrzelają nas po drodze. Z drugiej znowu strony było zupełnie jasne, że jeśli zostają tylko chorzy i słabi, to nie można się było spodziewać niczego dobrego. Czyż można było się ludzi, że opiekunowie nasi zostawią w spokoju chorych na świadectwo prawdzie? Wielu zdecydowało się iść, ale dość spora liczba postanowiła zostać. Oczywiście byliśmy przygotowani do drogi, gdyby tego zaszła potrzeba, ale dobrowolnie nie chcieliśmy iść. Aby uniknąć ścisku, wywindowaliśmy się na dalsze łóżka, na trzecie piętro, i tam czekaliśmy na rozwój wypadków. Ci, którzy zdecydowali się iść, wrócili po jakiejś pół godziny, oznajmiając, że Polacy wyruszają dopiero w sobotę. Mieliśmy zatem jeden dzień czasu. Nie uspokoiło to bynajmniej umysłów, a wzmogło tylko zdenerwowanie i bałagan. Różne ciemne elementy, korzystając z zamieszania, kradły na oczach, co się tylko dało. Stąd powód do nowych krzyków, posądzeń i wzajemnych, często mało parlamentarnych wymyślań. Ja uspokoiłem się po powziętym zamierzeniu pozostania, ale to był raczej spokój sztuczny, więcej nakazany, niż naturalny. Trudno bowiem być spokojnym, kiedy się stoi przed wielką niewiadomą, tuż u progu wolności. Ileż to mogło się wydarzyć w ciągu tych pięciu minut przed dwunastą? Tyle się marzyło o tej wielkiej chwili i kiedy zdawało się być tuż, człowiek stawał się bezsilnym. Jest to uczucie nad wyraz męczące i bardzo bolesne.

Tak mniej więcej przeszedł piątek. Druga partia przeznaczona na ten dzień odeszła nocą. Sobota przeznaczona była dla nas. Rano pokazało się jednak, że jeszcze bardzo dużo spośród tych, którzy mieli wyruszyć we czwartek i piątek poukrywało się. Wobec tego władze nakazały poszukiwania. Była to jednak syzyfowa praca. Przecież, kto ukrył się poprzednio, to i teraz przy takim zamieszaniu mógł spokojnie siedzieć. Rozprężenie panowało kompletne. Nie uznawano żadnej władzy. Pod wieczór gruchnęła wieść, że przyjechał Czerwony Krzyż, aby *przejść* obóz. Kto żył biegł sprawdzić, czy to prawda. Rzeczywiście przyjechało kilka autobusów, ale tylko z paczkami dla Francuzów i Belgów.

Widzieli jednak ci Panowie, co się działo w obozie, gdyż rozmawiać z nimi było niepodobieństwem, z powodu silnej eskorty esesmańskiej, jaka im towarzyszyła. Co jednak znaczy dla więźnia, który pod taką kontrolą spędził parę lat, za-

kaz rozmawiania? Udało się więc niektórym zamienić parę zdań z pocziwymi Szwajcarami. Nic konkretnego nie powiedzieli, a już są wstrząśnięci i wyprowadzeni z równowagi tym, co zobaczyli. Wieczorem odjechali, pozostawiając w nas nadzieję. Plotkom nie było końca. Czego nie powiedzieli Szwajcarzy, to na poczekaniu dorobiła imaginacja ludzka. Głodnemu zawsze chleb na myśli. Nic dziwnego, że zaraz znalazło się dosłownie tysiące takich, którzy osobiście rozmawiali z nimi i otrzymali przyrzeczenie, że obóz przejmą. I o ułomności ludzka, dano im wiarę. Zdaje mi się, że nikogo w ten wieczór nie było w obozie, który by w to nie uwierzył. Mało tego. Na poczekaniu stworzono nową wiadomość, że obóz zostanie oddany aliantom bez wystrzału, a esesmani otrzymali zapewnienie od Czerwonego Krzyża, że wyjdą cało. Wobec tak porządných wiadomości radość zapanowała ogromna.

Pomimo tak optymistycznych wieści, nie brakło jednak i pesymistów, którzy jak zawsze, tak i wtedy mieli swoje ale. Co prawda pod wpływem tak namacalnych wiadomości, niezbyt głośno i obcesowo zdradzali swoje zdanie, lecz nie ulegli też zbyt, a przynajmniej na długo ich działaniom. Dlatego też ta noc była dla nich pełna niepokoju i wyczerpania. Przepędzili ją po większej części na nogach, w pełnym pogotowiu, z nieodłącznym węzełkiem na plecach lub w rękę. Dla wytłumaczenia ich dodam, że mieli do tego dość uzasadniony powód, gdyż parę dni przedtem zarządzono w nocy alarm. Cały obóz musiał w bardzo krótkim czasie wyjść z bloków na pole i ustawić się w szeregach, podczas gdy ogromna ilość esesmanów uzbrojonych po uszy robiło wewnątrz bloków rewizje. Ja tego nie przeżywałem, gdyż w tę noc byłem dość daleko poza obozem. Czyż więc nie można było i wtedy spodziewać się czegoś podobnego? Czyż alarm tamten nie był sprawdzianem czegoś, co mogło mieć miejsce? I rzeczywiście. Po uwolnieniu dopiero dowiedzieliśmy się, że właśnie w niedzielę wieczorem miano nas w taki sposób zlikwidować. Ponieważ nie należałem do pesymistów, ani też nie uległem zbyt przewrażliwionym życzeniom optymistów, spałem tej nocy bardzo dobrze. W niedzielę rano ktoś przyniósł wiadomość, że na bramie wisi biała chorągiew - znak poddania. Kto żył, biegł sprawdzić tę radosną nowinę. Pobiegłem i ja, choć od lat nie widziałem innej, jak tylko niemiecką [chorągiew]. Rzeczywiście, na głównej bramie wjazdowej powiewała sobie biała chorągiew spokojnie i majestatycznie, jakby bała się silniejszymi ruchami zakłócić spokój tym, którzy już pomarli i tym wszystkim, którzy dobiegali kresu życia. A jakże wielu nawet w tym dniu było takich. Radość ogromna opanowała wszystkich. Teraz nawet i ci najskrajniejsi kiwali głowami, skwapliwie unikając zetknięcia się z towarzyszami, aby nie być wystawionym na pośmiewisko i wymówki. Niejeden bowiem w zapamiętaniu gotów był przysiąc, że powodem wszystkich naszych dotychczasowych cierpień i nieszczęść, to właśnie ci niewierni Tomasz pesymiści. „I kto wie, czyby już dawno obóz nie był rozpuszczony do domów, gdyby nie ci właśnie”.

Apelu nie było rano, czemu nikt się już nie dziwił, no bo po co, skoro chorągiew wisi. Strażnicy byli jednakowoż na wieżach, a nawet koło godziny 9 zdwojono czy też potrojono ich liczbę, lecz na to nikt nie zważał. Wkrótce poszliśmy na Mszę św. do kaplicy i w tym momencie każdy chyba jeszcze gorliwiej i żarliwiej modlił się i dziękował Bogu Wszechmogącemu, że nam pozwolił doczekać

tej chwili. Przecież nikomu ani przez głowę nie przeszło, aby dzień tak pięknie rozpoczęty miał się skończyć dla nas katastrofą. O jakże tutaj w tym dniu okazała się sprawiedliwość Boża. Dotychczas tym nadludzkim uchodziło wszystko bezkarnie, mogli pomiatać i deptać najświętszymi rzeczami, a Pan Bóg zdawał się czekać. Teraz przyszedł moment, że postanowił pokrzyżować ich plany i wyciągnąć karzącą dłoń.

Czas włókł się bardzo powoli. Od czasu do czasu dochodziły nas huki strzałów, ale dość dalekie. I znowu, choć dzień był piękny, nie było ani jednego samolotu. Ten fakt bardzo nas denerwował, boć każdy wyobrażał sobie, że jeśli front jest już tak blisko, to i samoloty powinny stale być w powietrzu. Po obiedzie słychać było dość bliskie i bardzo częste strzały karabinów maszynowych, ale zasadniczo nikt nie przywiązywał do nich wagi. Dowiedzieliśmy się bowiem, że w Monachium i gdzieś koło Dachau powstał jakiś bunt, więc strzały pochodziły na pewno z utarczek esesmanów z tymi trochę spóźnionymi obrońcami ojczyzny. Koło godziny 4 po południu chodziłem sobie razem z moim przyjacielem po 1 ulicy obozowej i roztrząsaliśmy właśnie znaczenie tych strzałów, gdy nagle ogromny wybuch wstrząsnął powietrzem od strony toru kolejowego. Byliśmy pewni, że to most kolejowy został wysadzony w powietrze. W parę minut później, drugi podobny wybuch i drugi most. Nie było wątpliwości, że walka rozgrywała się już w pobliżu. Jakoż dały się słyszeć całe serie strzałów ciężkich karabinów maszynowych i w pewnym momencie jakaś zabłąkana kula uderzyła o jakieś 3 metry ode mnie w barak. Ponieważ ludzi na ulicy było dużo powstał zaraz krzyk i nawoływania, aby schronić się do baraków. Była to zresztą bardzo słuszna uwaga, gdyż strzały stawały się już coraz częstsze i coraz silniejsze. Ale na bloku trudno było utrzymać porządek. Każdy cisnął się do okna, chociaż nic nie można było przez nie zobaczyć. Dało to powód do różnych uwag i docinków, więc aby dalszemu rozwojowi położyć koniec, nasz ojciec duchowny rozpoczął modlitwę, chociaż każdy zdawał sobie sprawę, że o skupieniu należytem mowy być nie mogło. W takim nastroju przy modlitwie przesiadzieliśmy do godz. 5. Powoli wracał spokój, bo i na polu trochę się uspokoiło. Podniecenie jednak malowało się na twarzach wszystkich. Naraz ogromny wrzask. Trudno mi oddać siłę i barwę tego nie artykułowanego prawie głosu ludzkiego, jaki się wyrwał z tysięcy naraz piersi i gardzieli. Jak z procy wyskoczyłem przez okno na pole i zobaczyłem pierwszego Amerykanina. Szedł przyczajony od strony tzw. psiarni w kierunku drutów. W jednej ręce trzymał automat, w drugiej papierosa, a na piersiach wisiał aparat fotograficzny. Wybaczcie mi, że pominę milczeniem ten moment, jaki się rozegrał w tym czasie. To przechodzi pojęcie, co się wtedy działo. Piekielne krzyki i wrzaski we wszystkich chyba językach, jakie istnieją i nie istnieją, były jedną możliwą podzięką za ten akt uwolnienia, na który czekaliśmy po kilka lat. Nikt nie zważał na to, że na wieżach wartowniczych byli jeszcze esesmani z karabinami gotowi do strzału. Zresztą oni, nie wiem kiedy, powywieszali białe chustki. Amerykanin gestami starał się uciszyć krzyk, ale to nie poskutkowało. Wobec tego zdjął aparat fotograficzny z piersi i zrobił kilka zdjęć, i zaczął iść w stronę oddalonej o jakieś 50 m. wieży. Jakoś nadszedł drugi żołnierz, trzeci i piąty i wszyscy zrobiwszy po kilka fotografii skierowali się do strażników, którzy tymczasem zeszli z wieży

z podniesionymi rękami. Kiedy się obejrzałem już widziałem na naszych polskich blokach amerykańskie i polskie chorągwie. Jaką odwagę mieli ci chłopcy, którzy to przygotowali zapewne już parę dni przedtem. Tymczasem posłyszałem naraz znowu ogromny krzyk i kilka serii krótkich strzałów. To Amerykanie rozstrzelali strażników. Co było potem, nie umiem powiedzieć. Opowiadano mi, że znaleziono u jednego z nich broń czy coś podobnego. Nie wiem dlaczego, ale zrobiło mi się bardzo przykro. Ja chciałem inaczej ten dzień uczcić, a w każdym razie nie chciałem być świadkiem śmierci, choćby najbardziej zasłużonej.

W tym samym czasie, gdy opisane wypadki odbywały się w naszej części obozu, do głównej bramy poszedł również jeden żołnierz amerykański i odważnie wszedł do środka, znalazł gdzieś drzwi i drogę na sam wierzch domu, i zatknął na najwyższym szczycie polską chorągiew. Był to Polak z Ameryki. Wkrótce nadszedł kapelan wojskowy, wyszedł na ganek bramy, uciszył ręką zebrane tysięczne już tłumy i przemówił dość silnym, choć mocno wzruszonym głosem: „Bogu Najwyższemu niech będą dzięki, że nam pozwolił was stąd uwolnić! Podziękujemy Mu za to odmawiając wspólnie Ojczyznę naszą”. I całe morze pochyliło się kornie i odmówiło modlitwę dziękczynną do Króla Królów.

Wyszedłem na obóz razem z innymi, aby się rozglądnać, co się dzieje. Trudno opisać. U wielu zwłaszcza starszych, widziało się łzy radości w oczach. Znajomi czy zupełnie obcy sobie całowali się serdecznie i gratulowali sobie takiego zakończenia. Ileż w tym dniu modlitw dziękczynnych może nieudolnych, ale szczerych wzbilo się do nieba, aby podziękować Temu, który dokonał na nas tego tak bardzo oczekiwanego aktu.

Przecież jak nam w dwa dni później opowiadał kapelan amerykański, Dachau miało być zajęte dopiero w poniedziałek wieczorem lub we wtorek rano. Dlaczego stało się inaczej? Chyba Bogu jednemu jest to wiadome i On na pewno zmienił pierwotne plany aliantów, aby nas ocalić od niechybnej śmierci, jaką nam opiekunowie nasi przygotowali na niedzielę wieczór.

Radość w obozie panowała wielka, ale obok tej radości ile było płaczu i bólu. Gdyby tak dane było w tym momencie zjawić się najbliższym tych wszystkich, którzy tej radosnej chwili nie doczekali lub którzy w kompletnym opuszczeniu umierali, częstokroć na ulicy i to w dodatku jeszcze nago. Niech Miłosierne Serce Boże poczyta im to i przyjmie ich do chwały swojej.

\* \* \* \* \*

**[Organizacja życia obozowego].** Jednym z najpopularniejszych wyrażeń obozowych była tzw. organizacja. Można by ją śmiało porównać do dziś tak modnej, a tak niestety nadużywanej prawdziwej demokracji. Pod pojęciem organizacja podciągano wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby zdobycia czegoś, co było potrzebne. A więc organizacją nazywało się wydobywanie z magazynu esesmańskiego: bielizny, materiału na ubrania, pończoch czy skarpetek, butów, mydła, skóry, pulowerów etc. Wyraz kradzież istniał jedynie w tym wypadku, gdy kolega koledze zabierał chleb lub coś do jedzenia. Wszystko inne kradzieżą nie było. Nie myślę wcale rozwodzić się nad słusnością tego przekonania, bo to nie miałyby

dzisiaj żadnego znaczenia. Chcę jedynie opisać, jak się to robiło i do czego to służyło. Jeśli chodzi o tę drugą rzecz, wzmiankowana organizacja służyła do zdobycia sobie możliwych środków wyżywienia. To był jej główny cel. Oczywiście znajdowali się i tacy, którzy organizowali nie z jakiejś potrzeby ratowania sobie życia, ale można by powiedzieć, dla sportu. Nie była to sprawa łatwa i wymagała dużego sprytu i odwagi, aby czegoś takiego dokonać, zwłaszcza na większą skalę. Nic dziwnego, że najbardziej zdatnymi do takiej operacji byli dawni kieszonkowcy i inni majstrowie z tego czy podobnego działu. Nie muszę chyba dodawać, że w razie przychwycenia takiego osobnika groziła mu kara do stryczka włącznie, zależnie od tego, co przy nim znaleziono. Ryzyko więc było duże i stawka niezmiernie wysoka. Czego się jednak nie robi, gdy kiszki marsza grają. Takie zorganizowane towary szły potem na czarną giełdę, gdzie jedynym środkiem płatniczym był chleb, margaryna lub masło i papierosy.

Od 1944 roku dołączono do tego i wódkę. Pamiętam przecież bardzo dobrze, jak w 1944 roku na Józefa poczciwe chłopaki przyniosły mi w podarunku litr pierwszorzędnej wódki czy likieru. Równało się to wartości kompletnego umundurowania z płaszczem włącznie. Kto więc posiadał możliwości zorganizowania czegoś, mógł jakoś żyć. Inni, zdani na wikt obozowy, konali powoli. Jeżeli teraz chodzi o mój stosunek do tej instytucji, to początkowo stałem z daleka od niej, gdyż po pierwsze nie miałem możliwości nic organizować, jedynie chyba cegłę, ale pewnie po to, by mi kto nią rozbił głowę. Później, gdy otrzymywałem paczki, nie było mi potrzeba organizować. Dopiero w ostatnich miesiącach, kiedy życie było niemożliwe wprost, a praca dość ciężka, musiałem niestety i ja chwycić się tego interesu. Ograniczał się on jednak li tylko do pośredniczenia w wymianie. Zysk był jednak spory, bo i ryzyko bardzo duże. Możliwości do tego rodzaju interesów miałem bardzo dobre, bo pracując w grupie budowlanej mieliśmy stale wyjazdy poza obóz, a to dawało doskonałą okazję zetknięcia się z ludźmi i dokonania wymiany. Ostatnio zwłaszcza w 1945 roku wyjeżdżałem z trzema innymi na dwa dni poza obóz po dachówkę, więc miałem możliwość przeprowadzać różne transakcje, nawet na dużą skalę. Warunkiem powodzenia był dobry posterunkowy, który nas eskortował. Ileż to razy nieogłędni wdepli właśnie dzięki takiej szujki, który danego delikwenta prowadził wprost do więzienia obozowego, o którym lepiej nie wspominać.

Z czasem poznaliśmy wszystkich dobrych i złych, więc wiedzieliśmy już z góry, czy w danym dniu można będzie coś zrobić czy też nie. Nam szczęście sprzyjało, bo poza jednym wypadkiem zresztą dość błachym, nie mieliśmy żadnych wpadek, a moc zapasów i jeszcze więcej zazdrości ze strony kolegów. Dla orientacji dodam, że w chwili wyzwolenia nas, w naszej budzie przy miejscu pracy mieliśmy schowane: 3 metry ziemniaków, 60 kg mięsa, 30 kg chleba, nie licząc jaj, mąki, masła, smalcu, kaszy, grochu i innych drobiazgów. Pracowało nas tylko piętnastu.

Drugim warunkiem nie mniej ważnym było zgrane towarzystwo. I pod tym względem byliśmy dobrani. Najwięcej było Polaków, bo ośmiu. Same młode chłopaki, zepsute do szpiku kości, ale można było im ufać, że w razie wyspy nie wydadzą. Początkowo odnosili się do mnie obojętnie, ale kiedy na ich zbyt dra-

styczne opisy powabu świeżo otwartego domu publicznego w obozie, dałem przyzwolitą odprawę i zastrzegłem sobie, aby na przyszłość w mojej obecności takich tematów nie poruszali, zaczęli się odnosić do mnie z dużym respektem, a nawet potem przywiązali się do mnie bardzo i starali mi się dopomagać na różne sposoby. Zdaje mi się, że tym więcej zrobiłem, niż gdybym im zrobił wykład naukowy o moralności i potrzebie jej kultywowania.

Wyjeżdżaliśmy we czterech z jednym posterunkowym esesmanem i z jednym esesmanem szoferem. Dzięki organizacji doprowadziliśmy do tego, że dawano nam posterunkowego zawsze tego samego, co było surowo przez władze obozowe zakazane. Jechało [...] bardzo powoli, ale dzięki temu mogłem się należycie przyglądać wszystkiemu, co mnie interesowało. Już sam fakt, że będzie można spędzić choć jeden dzień poza obozem był wart zachodu. Po drodze kierowca zabierał, aby podwieźć różne osoby, przeważnie zaś młode panienki, ponieważ te zawsze w porę umiały uśmiechnąć się obiecująco i przymilnie, a esesmani dobrze wiedzieli, że one nie tylko mają w zanadrzu obietnice, ale je chętnie przy okazji spełniają. Dało mi to sposobność do poznania młodego pokolenia dziewcząt niemieckich. Oby tylko nasze nie były do nich podobne, bo wtedy kara, jaką ponosimy, byłaby niestety słuszna i zasłużona.

Na miejscu przy fabryce dachówki, pracowali robotnicy różnych narodowości, którzy dobrowolnie przyszli do Niemiec szukać pracy. Z tymi robotnikami i robotnicami, którzy mieszkali skoszarowani przy fabryce, robiliśmy interesy. Przywoziliśmy ubrania męskie, suknie babskie, bieliznę wszelkiego rodzaju i koloru, buty, pończochy, nici, materiały najróżnorodniejsze itd., i za to otrzymywaliśmy chleb, masło, słoninę, ziemniaki, kaszę, groch, jaja i inne artykuły spożywcze. Nie chodziło tutaj o właściwą cenę za dany materiał, bo jeśli już przywieźliśmy ze sobą, nie było co brać z powrotem. Cóż by się z tym zrobiło? Przecież na drugi raz przygotowane były nowe zapasy, a magazyny esesmańskie nie świeciły jeszcze tak beznadziejnymi pustkami. Otóż to była organizacja. Trzeba tak jednak było sprzedawać, aby coś się dostało każdemu. Często bowiem taki materiał czy ubranie przeszło przez trzy do czterech rąk pośredników, z których każdy chciał coś mieć. Najtrudniejszą rzeczą było wyniesienie z obozu tych rzeczy przeznaczonych na handel, gdyż częste rewizje osobiste do naga wymagały ogromnej ostrożności. Ja osobiście mało wynosiłem, gdyż sobie to zastrzegłem. Przecież jak ja byłbym wyglądał, gdyby tak przy mnie znaleźli jakąś suknię lub bieliznę babską.

Przy takich wyjazdach nocowaliśmy w hotelu. Esesman, który nas konwojował, zaraz z wieczora wychodził szukać sobie, albo użyczać szczęścia, zależy jak to kto pojmuje i zinterpretuje subiektywnie. My zostawaliśmy swobodni i mogliśmy robić wszystko do naśladowania go włącznie. W hotelu było sporo ludzi, przeważnie kobiety uciekinierki i to w dodatku młode i ładne. Początkowo patrzyły na nas jak na zbrodniarzy, bo tak przedstawiano wszędzie, ale potem dogadaliśmy się i chętnie z nami rozmawiały. Właścicielka hotelu była kobieciną na granicy starszych lat, ale ogromnie energiczna i bardzo pobożna, jak tego przykładów miałem sporo. Polubiła mnie bardzo, kiedy dowiedziała się kim jestem i dzięki niej miałem zawsze co jeść, bo i o to było bardzo trudno. Wszystko było na kartki, a my nie tylko kartek nie dostawaliśmy, ale i żadnego jedzenia na drogę.

Były to dość miłe chwile, bo się zapominało na moment o obozie, o swojej doli więźnia, ale sama droga niezbyt była bezpieczna z powodu częstych bombardowań. Przejeżdżaliśmy stale przez Monachium i koło największego lotniska niemieckiego, więc bardzo łatwo było oberwać. Lotnisko i hangary oraz olbrzymia szkoła pilotów ciągnąca się na przestrzeni wielu kilometrów, w czasie dwu bombardowań zostały kompletnie rozbite. W niektórych miejscach na metr kwadratu wypadały dwie bomby zapalające. Szczątki samolotów rozbitych na lotnisku leżały daleko na polach. Jakże dziwnymi wydawały się nam komunikaty niemieckie, że nieprzyjaciel zniszczył znowu kilka szpitali i kościołów.

Jeśli już mowa o bombardowaniach, to dodam, że i na obóz coś spadło. Raz nocą Anglicy zrzucili chyba przypadkiem bombę zapalającą i spalili nam cały depozyt, gdzie były przechowywane nasze prywatne rzeczy. Potem Amerykanie, nie chcąc zdaje się być gorszymi, zrzucili coś dziewięć czy dwanaście bomb na obóz esesmański. Z tych jedna spadła koło krematorium, a więc 50 m. od naszego bloku, lecz całe szczęście nie wybuchła. Byłaby bowiem sałata tak z bloku jak i z ludzi. Ja na szczęście byłem zawsze w czasie obiadu poza obozem. Ale i ja miałem przypadek, który dzięki Bogu skończył się szczęśliwie. Mianowicie, raz w czasie nalotu, stałem sobie pod krzakiem i patrzyłem jak jedna eskadra zrzucała właśnie bomby na małe lotnisko oddalone od nas o około 1 km, gdy wtem usłyszałem dziwny świst. Nie umiem powiedzieć w jaki sposób, ale rzeczywiście znalazłem się momentalnie na ziemi i w tym samym momencie usłyszałem ogromny huk, poczułem dym i ziemię na sobie i nic więcej. Nie straciłem przytomności, ale byłem kompletnie ogłuszony. To pocisk przeciwlotniczy nie wybuchł w górze, lecz spadł dosłownie o metr ode mnie i uderzył w beton, eksplodował, zadawałając się jedynie przysypaniem mnie gruzem, ziemią i kamieniami. Było to na prawdę cudowne ocalenie: 31 lipca 1944 roku.

Poświęcając tyle miejsca organizacji, chcę podkreślić, jak bardzo była ona dla nas konieczna, jeśli się chciało jakoś żyć. Już bowiem z końcem 1944 roku i przez pierwsze trzy miesiące 1945 roku karmiono nas gorzej niż nędznie. Stale na obiady dawano zupę z obierzyn ziemniaczanych i to do tego brudnych tak, że niepodobna było tego jeść, a już wcale po takim obiedzie pracować 13 godzin dziennie. To było też powodem różnych chorób, które zaraz wybuchły na nowo w obozie. Z tych najgroźniejszymi były tyfus i jakaś grypa głowy, czy coś w tym rodzaju. Nie mogli na to nic poradzić, bo po pierwsze nie było żadnych lekarstw i te trzeba było organizować, a po drugie nie było żadnych zapasów. Obóz przeznaczony na niecałe 10 tys. ludzi musiał pomieścić przeszło 30 tys. Każdy więc, o ile był w możliwości, starał się zaradzić biedzie we własnym zakresie. A nie było to znowu tak łatwe, bo i ludność cywilna nie wiele miała, a jeżeli i posiadali jakieś zapasy, to trzymali to na czarną godzinę, gdyż każdy liczył się z prędkim końcem, a to potem było bardzo niepewne. Niestety to potem nie przedstawiało się tak tragicznie. Słusznie jeden z oficerów niemieckich zapytany, jak Niemcy przetrzymują okupację, odpowiedział: „nasze kobiety nas uratują”. I nie pomylił się wcale. Ratowały ich jak mogły na wszystkie sposoby.

\* \* \* \* \*

**[Warunki mieszkaniowe].** Teraz chciałbym przedstawić trochę nasze warunki mieszkaniowe. W Dachau baraki zbudowane były równolegle do głównej ulicy. Było ich 32, plus potem dobudowany 33-ci, w którym mieszkały *kapłanki Wenery*. Każdy blok liczył cztery izby, a każda izba składała się z sypialni i jadalni. Barak miał długość 100 m. Jedna izba przeznaczona była w/g planu pierwotnego dla 90 ludzi, podczas gdy de facto mieszkało zawsze więcej, a ostatnio od 390 do 500 i więcej.

W sypialni łóżka stały przysunięte jedno do drugiego i oprócz tego trzy piętra w górę. Na jedno łóżko normalnie obliczony był jeden człowiek, ale niestety tylko w teorii. W praktyce spało na dwóch łóżkach pięciu ludzi. Później na pięciu łóżkach zsuniętych razem spało i dwudziestu ludzi i nikt się nie troszczył o to, czy się pomieszczą. Najgorzej było w tym wypadku na górze, gdyż bardzo często mniej spokojny sąsiad mógł swego *nebenmanna* po prostu strącić na dół, co wydaje mi się nie bardzo by mu posłużyło. Na takim miejscu skrajnym na trzecim pięterku przespałem i ja ostatnie dwa lata. Liczyli chyba na to, że gdy spadnę nie będą mieli kłopotu ze zbieraniem moich kości, bo wyglądałem sobie jeszcze niczego. Ale i mnie zdarzyło się zlecieć, ale to było przy schodzeniu na dół. To schodzenie i wychodzenie należało do jednych z tych sztuczek, jakie za psie pieniądze widuje się w wędrownych cyrkach. Całe szczęście, że miałem jeszcze tyle czasu, by zasłonić rękami głowę, bo zdaje się przy zderzeniu z łóżkiem byłoby zostało tylko kawałek czerepu i trochę wody. Stłukłem sobie mocno szanowną łysinę i analogiczną, nieco niżej ulokowaną część mojego jestestwa, ale wyszedłem cało.

\* \* \* \* \*

**[Wypadki skępskie].** Teraz mam zamiar podać parę szczegółów, w których aż nazbyt jawnie uwidoczniła się opieka Boża nade mną. Proszę mnie tylko źle nie zrozumieć. To co się stało, stało się na pewno dla mnie, ale nie z powodu mnie czy moich osobistych zasług. Jeśli to przytaczam to nie dlatego, by się pochwalić, ale by pokazać, że modlitwy za mnie nie szły na marne, ale były wysłuchane.

Co było istotnym powodem, że mnie wywieziono do obozu, podczas gdy moich towarzyszy zwolniono z więzienia w Grudziądzu, dotychczas nie wiem. Gdybym był fatalistą, przypisałbym to złośliwym fatum, które tak mną i moim losem pokierowały. Ponieważ nie jestem wyznawcą tej doktryny, więc tłumaczę to sobie trochę głębiej, trochę bardziej po katolicku. Jeśli się tak stało, to widocznie zasłużyłem sobie na to i Pan Bóg doświadczając mnie tym krzyżem, chciał mną trochę inaczej pokierować, aniżeli ja sobie to planowałem. I dzisiaj, kiedy z pewnej odległości na to patrzę, skłaniam głowę przed Jego Majestatem. Kto wie, co by ze mną się stało, gdyby właśnie nie ten obóz. A przecież tyle dobrodziejstw i łask ile otrzymałem tam za darmo w ciągu tego czasu świadczą chyba najlepiej, że Pan Bóg wkładając na mnie ten krzyż nie żądał ode mnie, abym go dźwigał sam, ale w różny sposób dopomagał mi w niesieniu go.



Kiedy wybuchła wojna nie wiedzieliśmy, co mamy robić ze sobą. Wieści jakie nas dochodziły, nie wróżyły dla nas w razie zostania na miejscu nic dobrego. Wysunięci tak daleko od swoich czuliśmy się trochę obco. Widać było po każdym z nas, że nie mamy ochoty pozostać. Przynajmniej o sobie mogę z całą szczerością powiedzieć, że ginąć nie miałem najmniejszej ochoty. Byłem przecież młody, najmłodszy ze wszystkich i zacząłem dopiero wchodzić w życie, które też nawet bardzo uśmiechało się do mnie.

Chociaż jeszcze tej sprawy otwarcie nie poruszaliśmy, w jednym przecież byliśmy zgodni: ktoś musi zostać, bo ludzi i kościoła nie można było na pastwę losu zostawić. Kto jednak miał być tym wybrańcem czy też ofiarą, nie było jeszcze ustalone. Zdaje mi się, że nie wyrządę nikomu krzywdy, jeśli powiem, że nikt nie miał ochoty. Zaczęliśmy oglądać się za ubraniami, bo tak było łatwiej się przedostać. Jakoś znaleźliśmy, to teraz pozostało tylko naznaczyć dzień, bo jedyna droga przez Włocławek mogła być lada chwila zamknięta. Było to 3 września [1939]. 4 września pojechaliśmy z Sylwestrem [Niewiadomym OFM] kajakiem do przyjaciela, aby wyszukać u niego jakiś tam drobiazg, uzupełniający nasze komplety garderobiane. Wracaliśmy przy pięknej pogodzie. Cały kościół i klasztor odbijał się w jeziorze, jak w szybie lustrzanej. Zapatrzyłem się w ten piękny widok i nagle przyszło mi na myśl, że nasza ucieczka ma w sobie więcej niż charakter pospolitego tchórzostwa, bo to wyglądało na ordynarną podłość. Przecież powierzono nam pieczę nad kościołem i cudowną statua Matki Bożej, jak również nad ludźmi, a my, aby ratować siebie, uciekaliśmy, a Ją naszą Panią i Matkę chcemy bez żadnej opieki zostawić na łup Niemców. I wtedy jakby jakaś iskra elektryczna, przeszło mnie takie uczucie, że muszę zostać. Przyszło ono tak nagle i takie było silne, że nawet nie zastanawiałem się długo nad tym skąd i dlaczego się wzięło. Od razu też zwróciłem się do Sylwestra i powiedziałem otwarcie: „wy z gwardianem uciekajcie, a ja zostanę”. Przyznam się, że nie umiałem nawet umotywować swego kroku, ale tylko czułem wewnątrz, że tak ma być i to bez jakiegoś ale... Sylwester był trochę zaskoczony, ale potem podał mi rękę i powiedział, że on też zostaje. Postanowiliśmy więc we dwóch, że gwardian ucieknie. Od tej chwili opanovała mnie jakaś wewnętrzna radość, jak to zwykle bywa, gdy się komuś coś dobrego zrobi. Nie znaczy to wcale, że wyzbyłem się strachu. Owszem strach odczuwałem i to dość silny, ale to nie przeszkadzało radować się. Jakoś tak się czułem, jakby mnie ktoś zapewnił, że Matka Najświętsza nie opuści mnie teraz no bo, jakby to wyglądało z Jej strony, albo gdzieżby była Jej wdzięczność. Jak widać było to rozumowanie bardzo prymitywne, raczej dziecięce, aniżeli człowieka, który bądź co bądź powinien te sprawy ujmować trochę inaczej. Kiedy po przyjeździe powiedzieliśmy gwardianowi o naszym świeżo powziętym postanowieniu, był tym również zaskoczony, ale i uradowany, bo i on zdawał sobie sprawę, co by znaczyła taka ucieczka, ale był też tylko człowiekiem i zapewne do postanowienia pozostania brakło mu na chwilę odwagi. Przecież to przychodziło tak nagle i tak inaczej niż myśmy sobie wszyscy wyobrażali. Oczywiście przyłączył się do naszego zdania i postanowiliśmy pozostać wszyscy. Zostaliśmy.

8 września [1939] w sam dzień święta Matki Bożej weszli Niemcy do Skępego. Rano miałem jeszcze pierwszą Komunię św. dla dzieci, które dokończyłem przy-

gotowywać po moim przyjeździe. Był to mój pierwszy występ duszpasterski. Niemieckie oddziały wojskowe pozostawiły nas na razie w spokoju. To był pierwszy akt matczynej opieki cudownej Pani skępskiej ziemi.

27 października [1939] zostaliśmy przez gestapo aresztowani. Ostatnią Mszę św. dla ludzi odprawiałem ja, na święto Chrystusa Króla, w dniu 29 października [1939]. Nie zapomnę tej chwili, kiedy w czasie tej Mszy św. po mojej Komunii św. cały Kościół zaśpiewał: *My chcemy Boga*. Nie mogłem dokończyć mszy, gdyż w oczach miałem pełno łez. Jeszcze raz potem danym mi było, za pozwoleniem burmistrza, odprawić sumę na Boże Narodzenie. W tym dniu znowu prawie cudownie unikałem śmierci. Ludzie ze Skępego przed Bożym Narodzeniem zwrócili się do burmistrza Niemca, lecz skępianina, aby pozwolił na *Pasterkę*. Rzecz prosta burmistrz takiego pozwolenia bez wiedzy i zezwolenia starosty i szefa gestapo dać nie mógł. Ale, że ani jednego, ani drugiego w tym czasie w Skępem nie było, więc pozwolił sam i w razie dochodzeń kazał się nam na niego powołać. Umówiliśmy się więc, że gwardian odprawi o 6 rano *Pasterkę* i następną Mszę św. Potem miał odprawić Sylwester, następnie trzech księży diecezjalnych, którzy razem z nami siedzieli, a potem na końcu ja.

Słuchania spowiedzi burmistrz zakazał. Nie wiem znowu jak to wytłumaczyć, lecz rano, choć mogłem spać do dziesiątej, nie mogłem wyleżeć już od piątej. Coś mi mówiło, żebym szedł spowiadać. Co prawda nie musiałem, bo księży było dosyć i byłem zwolniony od tego, ale poszedłem. Siedziałem [w konfesjonale] od szóstej do dziewiątej, aż ostatniego człowieka wyspowiadałem i wykomunikowałem. Spowiadaliśmy wszyscy. Ludzi było bardzo dużo. Zmęczony wróciłem do pokoju, aby się trochę położyć i rozgrzać, bo zmarzłem silnie. Zapomniałem zaś zupełnie, że poprzedniego dnia zainstalowałem radio i w przekonaniu, że rano wysłucham przemówienia Sikorskiego, nie rozmontowałem go i nie schowałem, jak to zwykle bywało. Na szczęście nie miałem go w pokoju, lecz piętro wyżej w spiżarni.

Pół godziny przed mszą zbudził mnie zakrystian. Ledwie wstałem i umyłem się, gdy drzwi się otworzyły i weszło dwóch gestapowców. Byłem spokojny, bo o radiu zupełnie zapomniałem. Rozglądali się po pokoju, zaglądali do szafy, popatrzyli na stół, na którym gwardian podczas mojego snu ułożył dużą stertę jabłek, zapytali czy już odprawiałem i wyszli do drugiego pokoju. Wtedy dopiero wspomniałem o radiu. Włosy, których miałem jeszcze trochę, stanęły mi na głowie. Pozostało im do oglądnięcia jeszcze dwa pokoje i schody na trzecie piętro, gdzie mieszkali bracia. Wypadłem jak z procy, wpadłem do spiżarni (pierwsze drzwi przy schodach) zabrałem radio i usłyszałem za sobą po schodach kroki tych panów. Jedyne wyjście to znaleźć jakąś celę otwartą i tam to wrzucić. Ale przypomniałem sobie, że braci tam już na pewno nie ma, bo są już w kuchni. Wyboru jednak nie było. Chwyciłem za klamkę pierwszych drzwi z brzegu – otwarte. Brat zdziwiony coś tam robił i miał mnie zapytać, co to znaczy, ale nie zdążył nawet, bo ja wpakowałem to wszystko pod łóżko, przykryłem jakąś szmatą, i ledwie się wyprostowałem już ci panowie dochodzili. Aby ratować sytuację coś głośno [krzyczałem], choć nie wiem jak wy dobyłem ten głos, pokazując na dość zresztą marny porządek w celi. Widocznie to im wystarczyło, bo tylko zaglądnęli i poszli.

Nie trzeba opisywać, co przeżyłem w paru minutach. Jeszcze poszli do zakrystii, zagląдали do konfesjonałów czy kto nie spowiada, lecz nie znaleźli nikogo, bo ludzie już dawno byli wyspowiadani. Czyż i w tym nie było wyraźnego palca Bożego?

W czasie naszego internowania w Skępem mogliśmy wyjechać do Guberni. Chciał nam to załatwić wyżej wymieniony burmistrz Niemiec, ale odrzuciliśmy taką propozycję, żądając takiego rozkazu na piśmie. Tego nam nie dano, więc pozostaliśmy aż do wywiezienia.

Z okresu skępskiego mam do zanotowania jeszcze jeden moment, który nosi w sobie wprawdzie cechy dziecinne, nie mniej dużo zaważył potem na moim życiu.

Na jakiś czas przed naszym wywiezieniem, przyszedł do nas oficer z niemieckiego Wehrmachtu i ostrzegł nas, aby wszystkie kosztowne rzeczy poukrywać, albo jeszcze lepiej wywieźć do jakiegoś klasztoru w Małopolsce. Motywował to tym, że gestapo na pewno zażąda od nas wydania tych rzeczy. Był on katolikiem i jako taki spełniał swój obowiązek. Widocznie i wśród nich można się było dopatrzeć człowieka. Oczywiście skorzystaliśmy z przestrogi i zaczęliśmy ukrywać różne rzeczy. W pierwszym jednak rzędzie należało schować statuę cudownej Matki Bożej. Miałem to szczęście, że własnoręcznie ją z ołtarza zdejmowałem i zaniósłem do zakrystii, aby potem lepiej ją schować. Niosąc tę statuę prosiłem gorąco tę przemożną Opiekunkę naszą, aby mi danym było kiedyś z powrotem na ołtarzu umieścić. Następnie przycisnąłem ją mocno do siebie i prosiłem tak po dziecinnemu, aby mnie Matka Najświętsza nigdy nie opuściła, tak jak ją ja nie opuściłem w Skępem. Odtąd przez cały obóz pamiętałem o tym i często zwłaszcza w ciężkich chwilach przypominałem skępskiej Pani o naszym układzie.

Gdybym chciał opisywać te wszystkie drobne szczegóły, wśród których tak namacalnie uwidoczniła się Jej opieka nade mną, musiałbym napisać chyba całe dzieło. Jeszcze tyle wspomnień ciśnie się na myśl, ale wszystkiego nie podobna opisać. Na zakończenie tego wycinka mego życia, podam kiedy i gdzie odprawiłem moją pierwszą Mszę św. w obozie.

Po raz pierwszy od chwili wywiezienia mnie ze Skępego, dopiero w listopadzie (3 XI) 1944 roku miałem możliwość odprawić pierwszą Mszę św. w obozie. Była tutaj kaplica urządzona jeszcze w 1941 roku, w której początkowo do września tegoż roku mogliśmy korzystać, lecz odprawiać mógł tylko jeden ksiądz. Byliśmy i tak zadowoleni, że mogliśmy chociaż przyjmować Komunię św. Od września 1941 roku zabroniono księżom polskim korzystania z tego dobrodziejstwa za karę, że mordowaliśmy Niemców, natomiast księża niemieccy i innych narodowości korzystali z tego, aż do samego końca. Mimo woli ciśnie się człowiekowi wiele uwag niezbyt pochlebnych pod adresem księży niemieckich, którzy nam nawet Komunii św. podać nie chcieli. Ale niech im to Pan Bóg miłosierny wybaczy. Do 1942 roku nie mieliśmy mszy wcale. Później dobrzy ludzie w paczkach zaczęli nam przysyłać wino mszalne i hostie, więc wtedy na naszym bloku, na zwykłym stole codziennym, a początkowo na stołku, aby nie zwracać uwagi, bez obrusów i świec, bez szat i kielicha i innych przyborów, zaczęto odprawiać Msze św. Najprzód tylko w niedziele, później, gdy czujność władz trochę zmalała,

nawet codziennie, w porze wieczornej. Miało to charakter pierwszych wieków i chyba jak wtedy było miłe Bogu. Ponieważ nas było dużo, więc na moją kolejkę musiałem czekać aż do listopada. Wypadło to w pierwszy piątek miesiąca. Odprawiałem jak inni w zwykłym moim więziennym stroju. Za kielich służyła mi zwykła szklanka. I chyba ten brak paramentów nie umniejszył wcale czci należnej Majestatowi Bożemu, a na mnie wywarło to tak wielkie wrażenie, że przyznam się szczerze, byłem bardziej przygotowany i skupiony, aniżeli przy mojej pierwszej Mszy św. Była to dziękczynna modlitwa za wszystkie dobrodziejstwa i łaski, jakie otrzymałem oraz błagalna o dalszą opiekę i pomoc tak dla mnie, jak dla tych, którzy mnie wspomagali. Drugi raz odprawiałem w takich samych warunkach w lutym 1945 roku i również ją ofiarowałem w intencji nas wszystkich. Po uwolnieniu, jakkolwiek było już łatwiej odprawiać, to jednak nie mogliśmy wszyscy codziennie celebrować z powodu braku miejsca.

\* \* \* \* \*

**[Wiadomości ze świata].** Jeszcze tyle tematów pozostało mi do poruszenia, że nie wiem, na który się zdecydować. Najlepsze nawet wypracowanie nie jest w stanie odtworzyć przeżyć wewnętrznych poszczególnych osób. Każdy człowiek w obozie jest dla siebie osobną książką mniej lub więcej obszerną i mniej lub więcej ciekawą. Weźmy tylko taki prosty fakt: dla człowieka prostego uderzenie w twarz, jakkolwiek było i jest obrazą, to jednak potrafi to znieść o wiele spokojniej, aniżeli np. ja. Miałem tego ogromnie dużo przykładów. Wystarczyło tylko popatrzeć, jak się odbywa zmiana ubrań i butów, co jakiś czas. Obowiązywała przy tym kolejka. Wyłamujących się bito i to często bardzo dotkliwie. A przecież zawsze znalazło się sporo takich, którzy po prostu sami szli pod rękę jakiemuś zbirowi, nie bacząc na skutki, byle prędzej otrzymać tylko pożądane przedmioty. To jest jeden przykład i z jednej tylko dziedziny, a ile takich i podobnych wypadków w całym życiu obozowym istniało. Ale to tak potrąciłem mimochodem. Na zakończenie wypadałoby chyba powiedzieć jak zdobywaliśmy wiadomości ze świata. Mam tu na myśli wiadomości polityczne. Jest to bodaj jeden z najciekawszych rozdziałów naszego życia za drutami.

Pierwszym informatorem naszym i to zwłaszcza w początkach były tylko gazety niemieckie. One tylko były dostępne i z nich mieliśmy czerpać wszelkie wiadomości, no i naturalnie w nie wierzyć. Zresztą w początkach nie sposób było nie wierzyć, kiedy wszystko wskazywało na to, że niestety po większej części piszą prawdę. Z czasem te informacje prasowe u ludzi inteligentnych wyrobiły pewien spryt i nauczyły ich czytać między wierszami. Nieraz dwóch ludzi czytających zupełnie odmiennie rozumiało jedną i tę samą rzecz. Była to sztuka nie lada i nie każdy mógł ją osiągnąć. Przede wszystkim głównym warunkiem była dobra znajomość niemieczyny. Stąd tacy fachowcy byli zawsze przedmiotem tysięcznych pytań. A była to sprawa bardzo niebezpieczna, bo groziła śmiercią. Czytać gazety było można, lecz innym opowiadać znaczyło tyle, co spiskować. Jeżeli więc robiono jakieś sprawozdania, to robiono je w bardzo zaufanym kółku. U nas mieliśmy stałych sprawozdawców, którzy przeważnie wieczorami, gdy już

wszyscy byli w łózkach, podawali najważniejsze wydarzenia dnia. Była to sztuka trudna, gdyż łatwo można było przesadzać, co znowu niekorzystnie odbijało się na niektórych. W ogóle ludzi obozowych można było podzielić na trzy grupy: optymistów, którzy żyli od Bożego Narodzenia do Wielkanocy, a od Wielkanocy do Zielonych Świąt i tak w kółko. Czemu właśnie taki podział, a nie inny? Po prostu było to pewne ułatwienie. Przynajmniej mnie się tak wydaje. Druga grupa to pesymiści, którzy nie wiem czy z przekonaniem czy aby innym humor zepsuć, nie widzieli dla nas żadnej nadziei. Wreszcie trzecia grupa, nazwałbym ją realistyczną, była wielce umiarkowana. Nie liczyła na świątki czy piątki, ale starała się brać sprawę tak, jak się przedstawiała. Nie znaczy to, że innych grup już nie było, owszem najróżniejsze skrajności tych trzech głównych. Oprócz tego każdy jako tako myślący miał swój własny sąd, niekoniecznie zdrowy, ale miał. Najgorzej wychodzili optymiści. Wiem to z doświadczenia, bo przez pewien czas obserwo wałem, a starałem się to robić skrupulatnie. Otóż najwięcej chyba umarło optymistów. Dlaczego? Bo nie wytrzymali nerwowo. Wystarczył jakiś sukces niemiecki na froncie, a już się załamywali i wpadali w drugą ostateczność. To ich dobijało. Nie umieli niestety zdobyć się na trzeźwy sąd. Najlepiej wychodzili realisci, ale umiarkowani. Twierdzą to z przekonaniem, bo i ja nauczony doświadczeniem przychyliłem się do tego kierunku. Niestety nie od początku taki byłem. Wcześniej jednak postanowiłem się otrząsnąć z niefortunnego optymizmu i to mnie też może jako tako trzymało. Nigdy nie stawiałem sobie żadnej daty, lecz zasadą moją było przeżyć dzień, gdyż i to było często ogromną sztuką. Od początku byłem przekonany, że Niemcy przegrają, i choć wydarzenia zdawały się co innego twierdzić, zdania do końca nie zmienilem. Nie znaczy to znowu, że nigdy się nie omyliłem i nigdy nie ulegałem nastrojom chwili. Owszem i to się zdarzało, ale ponieważ każdą rzecz poddawałem krytyce własnego sądu, więc szybko otrząsałem się czy to z przygnębienia czy też zbytnej radości. Jediną rzeczą, która mnie martwiła, to był brak towarzysza, któremu mógłbym wszystko wypowiedzieć szczerze. Niestety bardzo długo nie miałem żadnego. Nie wiem czemu to przypisać, lecz tak było. Ze wszystkimi żyłem w zgodzie, byłem nawet lubiany, ale jakoś do nikogo nie mogłem się należycie przekonać. Dopiero w 1943 roku znalazłem takiego. Mówiliśmy sobie szczerze, wszystko roztrząsaliśmy na wszystkie możliwe sposoby, i co najważniejsze mieliśmy własny sąd. On trochę więcej optymistą, ja raczej skłaniałem się do pesymizmu, więc po uzgodnieniu zapatrywań wychodził złoty środek.

Oprócz gazet były tzw. *parolki*, a ci, którzy je głosili nazywani byli *parolkarzami*. Jakże czasem naiwne rzeczy puszczano w obieg i co dziwniejsze, że im naiwniejsze, tym im więcej wierzono. Nie lubiłem tego typu ludzi, bo wydawali mi się dziecinni. Inną drogą zdobycia wiadomości było słuchanie radia. Niestety takich było bardzo mało, lecz byli i to może najinteligentniejsi, a rekrutowali się spośród Polaków. Warunkiem koniecznym do tego było pracować w biurach esesmańskich, gdzie wszędzie były zainstalowane radia. Drugim warunkiem było tak pokierować pracą, aby na moment, gdy podawano wiadomości, dany esesman wyszedł z pokoju. Trzecim i to może najważniejszym warunkiem to zimna krew i odwaga, bo przychwycenie na gorącym uczynku to pewna śmierć poprzedzona

męczarniami, aby wydobyć współników. Początkowo nie miałem *pewnych* wiadomości, bo nie znałem nikogo z takich gości, a ci, zresztą zupełnie słusznie, unikali dawania powodów do podejrzeń, i jeżeli opowiadali, to zwykle w najbardziej zaufanym gronie. Napisałem *pewnych* wiadomości w cudzysłowie, bo w obozie wszystkie wiadomości były pewne, murowane, żelbet etc., zależnie od tego, na jakie określenie mógł się zdobyć dany opowiadający. A wiadomość, która przeszła przez parę ust i uszu, wychodziła zupełnie inna, zwłaszcza jeżeli ten ktoś nie był zbyt bity już nie tylko w historii, ale i w geografii. Można więc było usłyszeć i takie opowiadania starych tatusiów polityków, że np. „dzisiaj podało radio, że Anglicy wydali wojnę Wielkiej Brytanii”, albo „USA zażądała kategorycznie od Anglii, aby nie bombardowała otwartych miast, gdyż odpowie tym samym, lecz Anglia po naradzie z Ameryką nasiliła tego rodzaju wyczyny, nie troszcząc się bynajmniej o swoją skórę, bo co Anglia i Ameryka, to nie jakieś tam USA czy Wielka Brytania!”

Później, dzięki porobionym znajomością, udało mi się poznać takiego bardzo sympatycznego faceta, z którym jeżeli nie zaprzyjaźniłem się, na czym mi tak bardzo nie zależało, bo unikałem wielu przyjaźni, to przynajmniej zdobyłem jego zaufanie tak, że bez żenady opowiadał mi to, co słyszał, a słuchał dwa razy dziennie. Miałem więc na prawdę pewne wiadomości, bo od człowieka nadzwyczaj inteligentnego. Stąd niewiele dawałem ucha na różne bzdury, a jeżeli już słuchałem, to chyba z grzeczności, aby danego gościa nie urazić, że mu nie wierzę.

Trudno było utrzymać zasłyszane wiadomości w sekrecie. Stąd nieraz podana wiadomość, jednemu pod największym sekretem za dziesięć dosłownie minut, powtarzana była przez cały obóz, ale w największym sekrecie. Sekret, chociaż publiczny, ale musiał być, gdyż inaczej nie zdobyłbyś wiadomości, choćbyś konał. Niebezpiecznym zwłaszcza dla księży, było podawanie wiadomości, bo wiadomo, przychodził jakiś tam parafianin do swojego proboszcza, zaczynał rozmowę, pytał o wiadomości, i potem zebrawszy, co chciał, szedł do siebie i opowiadał po drodze pod sekretem, że dzisiaj stało się to, a to, albo inne, a kiedy nie chciano wierzyć, dla ratowania honoru własnego powoływał się na proboszcza, że od niego to wie, a co jego proboszcz, to nie jakiś tam chłystek. Oczywiście nie przeszkadzało i to, że ten proboszcz mógł być czasami więcej naiwny w sprawach polityki, niż jego parafianie. Niemniej jednak autorytet zdobyty na ambonie, utrzymywał się dalej. Nawiasem dodam, że nasz księżowski blok nazywano w obozie plebanią. Dlaczegożby nie, jeżeli tylu proboszczów, kanoników i innych dygnitarzy kościelnych, nie licząc już naszej braci prostaczej, na tym bloku mieszkało. Niektórzy wysoko postawieni spośród więźniów mieli zainstalowane własne aparaty w samym obozie, ale to było bardzo niebezpieczne i bywały wyspy. Pod koniec, to sami esesmani namawiali więźniów do słuchania, ułatwiając im możliwości, a potem słuchali sprawozdań. Sami bali się otwarcie słuchać.

Rzym, listopad – grudzień 1946 roku.

## PARĘ WSPOMNIENÍ Z PRZEŻYĆ OBOZOWYCH, cz. 2.

**[Propaganda].** Już zaraz po uwolnieniu, a jeszcze więcej nieco później miałem możliwość przekonać się jak nierówno ludzie podchodzili i podchodzą do zagadnienia obozów koncentracyjnych. W pojęciu wielu obóz przedstawiał się jako coś w rodzaju domu wychowawczego czy tym podobnej instytucji, gdzie ludzie poddawani byli przeszkoleniu, ekspiacji etc. I takie pojmowanie obozów najwięcej nas obozowców gniewało i w wielu wypadkach zupełnie zniechęciło do opowiadania na te tematy. Za cóż miałem bowiem iść do obozu na przeszkolenie? Jediną odpowiedź, jaką miało się na ustach, to odpowiedź prawdziwa: „że byłem Polakiem”, a wielu mogło dodać, że w dodatku polskim księdzem. Więc cała nasza zbrodnia, która polegała w większości wypadkach tylko na tym i tylko na tym, miała być karana obozem?

Owszem, Niemcy starali się, zwłaszcza wobec zagranicy, przedstawić obóz jako miejsce poprawy, gdzie dany osobnik nigdy nie siedział dłużej ponad kilka miesięcy. *Poprawiony* wracał znowu do dawnego zajęcia. Tak głosiła propaganda i jakże niestety wielu znalazła wierzących. Przecież ilekroć przyjeżdżała jaka wycieczka zwiedzać obóz, to zasadniczo zawsze opuszczała go zupełnie przekonana o prawdziwości głoszonej propagandy.

Na pokaz było bowiem wszystko: znajdował się nawet chleb w kantynie (w której zawsze wszystko można było kupić) i kawa, i cukierki, i mięsa przeróżne, marmolady, papierosy, nawet w rogu przygrywała pięknie przybrana orkiestra, aby się nikomu nie nudziło. Prócz tego były na pokaz dwa pierwsze bloki, gdzie stało naprawdę bardzo mało łóżek równiutko po linii usłanych. Były w kuchni przygotowane na pokazienne racje żywnościowe każdego więźnia, była dobrze urządzone łaźnia, była kaplica, był nawet specjalnie później dobudowany dom publiczny, który takich wycieczkowiczów najwięcej interesował, był plac sportowy dla piłki nożnej, był megafon do słuchania radia, a zwłaszcza do nieskończonego długich przemówień wodza, słowem raj na ziemi. I na pewno każdy z tych zwiedzających zadawał sobie w duchu pytanie, dlaczego ci zbrodniarze mają tak dobrze, jeżeli uczciwi ludzie na wolności mają tak źle? Czy każdy umiał odpowiedzieć sobie na to pytanie, a przynajmniej, czy starał się chociaż na nie odpowiedzieć, nie umiem zgadnąć. Wydaje się jednak, że człowiek zdrowo myślący, na pewno nie znalazł na to odpowiedzi, jeżeli nie chciał wejść w kolizję z logiką. W odpowiedzi znalazłby taki ciekawski, gdyby w niecałe pięć minut zawrócił przypadkiem z powrotem do obozu, lecz już nie w asyście esesmanów, lecz sam jeden. Byłby zobaczył jak pod silną eskortą pachołków esesmańskich wynoszono pośpiesznie z kantyny do magazynów chleb, mięso do kuchni esesmańskiej, a resztę pozostałych rzeczy do ich kantyny. Obok każdego bloku byłby zauważył wychylające się cienie – szkielety już nie ludzi, ale numerów, które zaropiałymi oczyma ściagały oddalający się konwój, unoszący to, co dla nich było może ostatnim przed śmiercią marzeniem, dostać bodaj za cenę duszy kawałek tego chleba, najeść się chociaż raz do syta i skonać nawet w sobaczy sposób. Następnie zobaczyłby jak orkiestra, która tak pięknie przygrywała, pakuje na gwałt swoje instru-

menty i ubrania, i przenosi do specjalnego schowka, aby czekały cierpliwie do następnej wizyty. W kuchni zobaczyłyby jak na gwałt wynoszono pokazowe porcje i racje *dzienne* więźniów z powrotem do składu, a biedne kotły zadowolić się musiały tym, co im faktycznie przeznaczono. A gdyby taki zapóźniony ciekawski rzucił okiem na inne bloki byłby zobaczył prawdziwy obóz w swojej prawdziwej, codziennej szacie i już na pewno nie zadawałby sobie żadnych dodatkowych pytań. Byłby widział tą całą nędzę i upodlenie człowieka do jakiego zepchnęła miliony ludzi Trzecia Rzesza właśnie dlatego, że chcieli i śmieli być ludźmi. Gdyby tak w godzinę później zobaczył tę samą łaźnię byłby ujrzał sporą gromadkę więźniów nędzarzy, często biedniejszych od biednego Joba smutnie czekających w kolejce na słupek, albo 25. Gdyby tak zobaczył w niedzielę rano jak na około kaplicy obozowej stali ludzie z odkrytymi głowami i modlili się na polu bez względu na pogodę i zimno, bo do wnętrza ich nie wpuszczano. To był wyłącznie monopol księży niemieckich. Inni Boga nie potrzebowali. Ale Bóg dobry i sprawiedliwy, i co najważniejsze jest na każdym miejscu. I to w obozie odczuwało się może najlepiej.

Nie. Koncentracyjny obóz nie był domem wychowawczym, nie był też obozem wychowawczym czy tym podobną instytucją, której celem było poprawienie ludzi z niewiadomych lub wątpliwych przewinień. KL niemiecki miał za cel właśnie zdusić, wypaczyć, zniszczyć w człowieku to wszystko, co było w nim dobre, a następnie jego samego.

Za kolczastych drutów naładowanych prądem elektrycznym, prawie że jedyna droga na wolność prowadziła przez krematorium. Obóz niemiecki był dla wielu końcowym etapem ich ziemskiej wędrówki, etapem wśród łez, cierpień, krwi i poniżenia do ostatnich granic godności ludzkiej, którego kresem była śmierć. Człowiek, a raczej numer tak długo był tolerowany, jak długo zdradzał pewną przydatność do pracy. Skończyły się siły, musiało się i życie skończyć, obojętnie w jaki sposób naturalny czy sztuczny. To było prawo, a prawu zawsze musiało stać się zadość.

\* \* \* \* \*

**[Doświadczenia medyczne].** Jedną z największych plam wiedzy niemieckiej, a zarazem ich etyki, kultury i humanitaryzmu były tzw. stacje doświadczalne, mieszczące się przy każdym prawie szpitalu obozowym. Do najsławniejszych obok Oświęcimia i Ravensbrück, należało Dachau. Dachau było też najlepiej wyposażone ze wszystkich. Tutaj dokonywano najrozmaitszych eksperymentów na więźniach począwszy od szczepienia sztucznej flegmony, poprzez malarię, doświadczenia lotnicze, doświadczenia weneryczne i gruźlicze. Malaria, sztuczna flegmona i po części doświadczenia lotnicze były wyłącznym monopolem księży polskich. Do doświadczeń lotniczych używano także kobiet, specjalnie na to wprowadzonych, chociaż ich rola była nieco inna. Służyły raczej jako środek do celu. Jaki? Lepiej to pominąć milczeniem. Poza doświadczeniami wenerycznymi i gruźliczymi, do których materiału podatnego mieli dość, używano ludzi jedynie zdrowych i silnych.



Najgorsze i najbardziej bolesne, a zarazem przeważnie kończące się śmiercią, były doświadczenia lotnicze i sztuczna flegmona. Zarażeni sztuczną flegmoną po kilku operacjach wyglądali jak Łazarz, jak pomięte łachmany wyrzucone na śmietnik. Konali w okropnych boleściach. Job biblijny w swojej chorobie i opuszczeniu chyba tak beznadziejnie nie wyglądał. I to wszystko odbywało się w imię dobrej wiedzy i ludzkości. Dzisiaj ci wszyscy kaci albo już są ukarani, albo, jak ostatnio czytałem, stoją przed sądem. Ale cóż to znaczy śmierć, nawet najcięższa, takiego jednego czy drugiego łotra, wobec krzywdy, jaką wyrządzili już nie tylko danym osobom, ale całemu społeczeństwu.

Uprzedzam nasuwające się pytanie, jak mnie udało się uniknąć tych doświadczeń? Cudownie – byłoby najlepszą, najprostszą, najprawdziwszą odpowiedzią, chociaż dla wielu niezadowolającą. Otóż naprawdę był to jeden z tych wielu przykładów opieki Matki Bożej nade mną. Być może inny na moim miejscu przypisałby to przypadkowi, bo i takie się czasami zdarzają. Ja jednak, znając doskonale życie obozowe, przypisuję to tylko cudowi. Przekonania mego jednak nikomu nie narzucam i pozwalam to osądzać każdemu jak chce.

Wybrano nas pięćdziesięciu, jako kandydatów na nowe ofiary malaryczne. Spisano, zebrano razem, zaprowadzono do szpitala na badania lekarskie. Polegało ono na tym, jak zresztą zawsze w takich i podobnych wypadkach bywało, że rozebrani przedefilowaliśmy przed esesmanem lekarzem, a ten patrząc na kogoś lub nie, powtarzał stale aż do znudzenia *zugelassen*. Tak było i ze mną. Zaszła jedynie ta może odmiana, że zaciękała go widocznie moja budowa ciała, bo zauważyłem u niego mocne zainteresowanie. Przyglądał mi się dokładnie, zapytał o wiek i z angielskim uśmiechem powiedział do swojego sekretarza: „Ja. Sehr schön gebaut”. Byłbym go na miejscu powiesił za ten komplement. Oczywiście, powieszenie zostało pobożnym życzeniem, natomiast na mnie spełniło się owo sakramentalne *zugelassen*. Złudzenia, jakie miałem, pierzchły. Byłem ofiarą, jak i wielu innych. Serce mi dziwnie drżało i biło bardzo nierówno. Stało mi się dziwnie smutno i przykro, bo wiedziałem, że dla mnie długa, wysoka gorączka, to śmierć pewna. A właśnie przy malarii taka gorączka potrafiła się utrzymywać przez kilka dni, a czasem i dłużej, utrzymywana sztucznie, jeśli jakiś nowy objaw zechciało się profesorowi obserwować. Cóż mogłem liczyć jeszcze na jakie 2-3 tygodnie życia. A to było naprawdę przykre, przecież tak chciałem wyjść z obozu. Ale nie było czasu na długie medytacje. Musieliśmy szybko się ubierać. Drżącymi rękami nakładałem na siebie te więzienne łachmany i odchodząc szeptałem pobludnymi wargami moje ulubione i dotychczas nie zawodne: *Pod Twoją obronę*.

Na bloku ogłoszono nam, że mamy być w każdej chwili gotowi na wezwanie profesora. Odtąd zaliczeni zostaliśmy do i tak sporej jego gromadki królików doświadczalnych. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy następnego dnia zawezwano nas powtórnie do badania, tylko tym razem rentgenowskiego. Było to coś niestychanego, bo ani dotychczas ani potem, a w każdym razie bardzo rzadko i w wyjątkowych wypadkach, praktykowano obydwa badania. Znowu nadzieja ożywiła wielu, gdyż wielu miało jakieś kłopoty płucne, a te chyba rentgen potrafi wykazać. Wielu też, zwłaszcza starszych, było zaangażowanych sercowo czy też przeszło różnego rodzaju operacje, więc nic dziwnego, że niektórzy byli prawie pew-

ni, że unikną czekających ich doświadczeń. Nie obeszło się i bez przekupstw. Ponieważ paczki już zaczęły przychodzić, więc szczęściarze, którzy otrzymywali je w dużych ilościach, mieli prawie pewne szanse ocalenia. Rzecz prosta, że wykupić było się można tylko u sekretarza, który spisywał wyniki badań, a tym był również więzień. Nie dziwiłem się tym zbyt, bo chodziło tu przecież o życie, a przynajmniej o zdrowie. Mnie pozostała jedyna nadzieja w Matce Najświętszej. Nic więc dziwnego, że idąc do szpitala szeptałem znowu, nie wiem który już raz z rzędu: *Pod Twoją obronę*. Było to aż nazbyt widoczne, że wszyscy i tak wykupić się nie mogą, nie wszystkich też rentgen uzna za niezdolnych, czyli ktoś musi paść ofiarą. Nadziei nie miałem prawie żadnej, gdyż wiedziałem już z doświadczenia, że nie każdy nawet lekarz poznawał się na mojej chorobie, chociaż z góry zawsze zwracałem im na to uwagę, więc też i niewielką nadzieję przywiązywałem do rentgena. Miałem natomiast dziecięcą ufność, że cokolwiek się stanie, to stanie się za wiedzą i wolą Matki Bożej, i że Ona mnie nie opuści i będzie dalej czuwać nade mną.

Procedura z badaniem odbywała się w ten sam sposób, tzn. do specjalnej małej klitki zupełnie ciemnej, wchodziło się po dziesięciu i tu w kolejności podchodziło się do aparatu, który obsługiwał ten sam lekarz esesman. Badanie postępowało bardzo szybko. Słyszeć było tylko przyspieszone oddechy ludzkie i na w pół zrozumiałe słowa podawane przez lekarza sekretarzowi. Przyszła moja kolej. I znowu jak wczoraj, tak i dzisiaj esesman zatrzymał się przy mnie dłużej. Kazał mi wykonywać różne ruchy, oddychać głęboko etc. I stale coś dyktował. Oczywiście nie poznał mnie, bo było zupełnie ciemno. Wreszcie skończyła się procedura. Ustawiono nas rzędem i ogłoszono wyniki: na pięćdziesięciu ludzi, dwóch zostało odrzuconych jako niezdolnych, a w tej liczbie i ja. Wiem, jak kole-dzy osądzili odrzucenie tamtego, bo mu to wprost w niezbyt parlamentarnych słowach wyrazili. Przekupił. Przeciw mnie nie podniósł się ani jeden głos, zarzucający mi sposób nieczysty. Było to raczej dla nich zaskoczenie i prawie nie wierzyli, aby to było prawdą. Nie posądzali mnie o przekupstwo, bo wiedzieli, że i tak nie miałem nic do dania, a przecież wiedzą sąsiedzi, na czym kto siedzi. Wiedzieli też dobrze, że nie mam nikogo znajomego w szpitalu, który chciałby się dla mnie narażać. Poruszano tylko głowami i może po cichu zazdroszczono mi tej wady sercowej. Ja natomiast dobrze wiedziałem, komu mam zawdzięczać to cudowne ocalenie.

\* \* \* \* \*

**[Obozowe ćwiczenia].** Przypomina mi się drugi podobny wypadek, kiedy to znowu interwencja Bożej Rodzicielki okazała się dla nas w szczególny sposób. Było to gdzieś zaraz w początkach mojego pobytu w Sachsenhausen. Staliśmy jak zwykle w szeregach w sypialni coś około 180 ludzi. Łóżek nie było tylko same sienniki, które na dzień układało się pod ścianą. Naraz wpadł esesman i jak za-zwyczaj w takich wypadkach bywało bez powodu zarządził ćwiczenia karne. Okna pozamykano. Z braku miejsca, niektóre jak np. bieg czy żabkę, musieliśmy wykonywać w miejscu, co ogromnie męczyło, zwłaszcza z braku powietrza. Inne

jak padnij – powstań mieliśmy wykonywać z dużą precyzją i biada temu, który się bodaj trochę spóźnił. Zresztą bicie było zawsze, obojętnie czy dane ćwiczenie wykonywane było dobrze czy źle. Kiedy już zaspokoił pierwszy impet, wpadły mu w oko sienniki pod ścianą, ułożone na wysokość około 1,70 m. Pomyślał i zarządził aby na komendę wszyscy od razu wskoczyli na te sienniki. Już to samo wymownie świadczy, że nie chodziło tutaj o jakąś sprawiedliwą karę, ale o znęcanie się nad biednymi ludźmi. Nie trzeba bowiem filozofa, aby pojąć, iż wykonanie tego rozkazu leżało poza granicami możliwości ludzkich. W najlepszym razie, przy najlepszej koniunkturze, mogło się na tych siennikach pomieścić ze 30 ludzi, podczas gdy nas było około 180. Ale w obozie nie było niemożliwości, jak również nie było w słownictwie obozowym: „dlaczego tak?” lub „kto to powiedział?” Te wyrazy nie istniały w encyklopedii obozowej. Badanie przyczyny czy słuszności tego zarządzenia nie należało do więźnia. Jego obowiązkiem było wypełnić bez reszty dany rozkaz. Tak było i w tym wypadku. Padła komenda. Co się działo trudno opisać. Słychać było tylko rozdawane razy, jęki pobitych i pokaleczonych. Krew lała się już obficie. Trudno, aby było inaczej, jeżeli taki obwieś bił kawałkiem nogi stołowej, nie bacząc czy bije w głowę czy gdzie indziej. Na razie byłem bardzo czuły, więc choć stałem w dość przyzwoitej odległości od tych sienników, to jednak dzięki temu, że byłem młody i jeszcze jakie takie siły posiadałem, szybko wylądowałem na samej górze i zacząłem najbliższych wciągać. Nie było to łatwe, bo ludzie zbici w jedną kupę raczej przeszkadzali sobie wzajemnie. Komendy padały szybko: „na sienniki – na podłogę”. Po kilku takich wyczynach, a zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę poprzednie ćwiczenia, ludzie formalnie mdleli i już prawie nie reagowali na razy. Ale zmęczył się wreszcie sam kat. Aby więc trochę odpocząć postawił nas w postawie zasadniczej, tzn. w kniebeugen, po polsku najlepiej chyba tłumaczyć w kuczki, z tym, że kolana miały być szeroko rozstawione, a ręce wyciągnięte przed siebie i kazał nam coś zaśpiewać. Tego momentu nie zapomnę nigdy. Jakby na umówiony znak, jakby pod takt niewidzialnej batuty, wyrwał się ze 180 piersi śpiew: „Serdeczna Matko Opiekunko ludzi, niech cię płacz sierot do litości wzbudzi”. I ta nasza stara polska wiara, jeśli nie co do słów, co do treści, tak prosta w melodii, a tak bardzo biorąca za serce, boć płynąca ze serca skrzywdzonego dziecka, ta nasza pieśń doszła do Matki nieba i ziemi, bo kat zasłuchał się, na twarzy wybił mu się wyraz wstydu i mocno zmieszany wyszedł bez słowa z bloku, ścigany dalszymi strofami: „Do kogóż mamy wzdychać nędzne dziatki”.

Bo chyba w tym momencie nikt od nas nie był bardziej nędzą niesprawiedliwą strapiony. To było pierwsze, ale jakie namacalne, jak nas na duchu podnoszące zwycięstwo Pani Świata. Utwierdziło ono nas w przekonaniu, że przecież jest jeszcze ktoś silniejszy od Hitlera i jego niecnych siepaczy.

\* \* \* \* \*

**[Przyjacieli].** Obok kultu Matki Najświętszej, każdy prawie więzień miał jeszcze swojego własnego patrona, do którego się specjalnie modlił, i od którego odbierał specjalne łaski. Ja miałem obok św. Tereni jeszcze św. Antoniego, jako pa-

trona ubogich. Właśnie w związku z tym, przypomina mi się jeden wypadek, jaki się zdarzył już po naszym uwolnieniu. Przytaczam go dlatego, że jest to typowy przykład, jak św. Antoni w naprawdę trudnych okolicznościach potrafi przyjść z pomocą.

Na parę miesięcy przed uwolnieniem poznałem jednego Polaka, trochę, a może nawet bardzo niedomagającego na płuca. Był w tym czasie już w szpitalu na oddziale dla gruźlików. Poznałem go przypadkiem, ale jakoś dziwnym trafem przypadł mi bardzo do serca. Do dzisiaj nie umiem sobie tego wytłumaczyć, gdyż był to człowiek zupełnie mi obcy, a ja do nowych znajomości jakoś nigdy nie miałem pociągu. Trzymałem się zasady, że nie ilość, lecz jakość powinna kierować w wyborze przyjaciół. Nic dziwnego, że z okresu obozowego, prawdziwych, serdecznych przyjaciół miałem właściwie trzech i to odnalezionych po roku 1943. Ten należał do tej grupy jako czwarty. Człowiek bardzo inteligentny, może tylko za mało w proporcji do swojej inteligencji wykształcony. Miał tylko ukończone gimnazjum. Za to praktykę w różnych dziedzinach miał niezwykłą. Przyłgnałem więc do niego zaraz po kilku widzeniach, a i on wybitnie szukał i chciał tego. Po jakimś czasie dowiedziałem się jego całej historii.

W 1939 roku uciekł przed Niemcami na Węgry, razem z żoną i synkiem, i tam przesiedział aż do 1944 roku, tzn. do aresztowania go przez gestapo. Żona z synem, bratem i bratową zostali na Węgrzech. Tak długo, jak długo przychodziła poczta otrzymywał regularnie od żony listy i paczki. Potem urwało się wszystko. Właśnie na ten okres przypadła nasza znajomość. Musiałem więc wysłuchać całej jego historii od urodzenia aż do szczęśliwego ożenku oraz dalszych dziejów. Jeśli istnieją naprawdę szczęśliwe małżeństwa to [właśnie] to postawiłbym za wzór. Z opowiadania poznałem dokładnie jego żonę. Poza żoną nie widział świata. Każda nasza rozmowa zaczynała się od Adelci, czyli żony, i na Adelci się kończyła. Nieraz w pół słowa urywał i po chwili przeproszał mnie, bo jak otwarcie wyznawał, „zdawało mu się, że Adelcia go woła”. Wolność zastała mnie już doskonale poinformowanym o szczegółach rodzinnych tych państwa Y. Ponieważ poprawiło mu się zdrowie, więc opuścił ten dachauowski przybytek i razem z nami przeniósł się do Freinanu. Od początku zaczął dowiadywać się na różne sposoby, co się dzieje z żoną i synem. I znowu musiałem słuchać o wszystkich nieudanych próbach przesłania wiadomości. W tym czasie było to niemożliwe z powodu strasznego bałaganu, jaki w całych Niemczech panował. Jediną drogą była tzw. poczta koleżeńska, która polegała na tym, że pisano listy z możliwie dokładnymi znakami rozpoznawczymi danej osoby, jak numer obozowy, miejsca pobytu etc. i listy takie oddawano różnym osobom udającym się do danego miejsca. Często dochodziły takie listy i przychodziły odpowiedzi, ale na ogół mało. Korzystał więc i ten przyjaciel z tego rodzaju środków i porozpisywał do wszystkich możliwych obozów i skupisk ludzkich całe masy listów, lecz po miesiącu stracił wszelką nadzieję. Początkowo pocieszałem go, jak mogłem, bo było mi go żal. Ale w końcu miałem tego dosyć, a zwłaszcza tej Adelci. Raz więc, kiedy z zupełnie innego tematu przeskoczył na swojego ulubionego konika i zaczął po raz już tysięczny opiewać wszystkie cnoty Adelci, trochę zagniewany powiedziałem mu: „jeżeli Pan tak chce znaleźć żonę, to zacznij nowennę do św. Antoniego. On

wprawdzie jest patronem od zgubionych rzeczy, ale chyba da się na ten raz skusić i odnajdzie Ci tę pocziwą Adelcie”. Po tym trochę złośliwym powiedzeniu zrobiło mi się żal biedaka, więc wytłumaczyłem mu jak, aby naprawdę zaczął się modlić do św. Antoniego. Usłuchał mnie.

Dla uzupełnienia dodam, że był to człowiek nadzwyczaj zrównoważony, lat 42 i mieszkał w towarzystwie samych chłopaków podrostków, oczywiście Polaków, tak samo jak on na zdrowiu szwankujących, dla których właściwie Bóg na niebie nie istniał, a żadnych ludzkich autorytetów nie uznawali. Każdy z nich był autorytetem dla siebie i ten autorytet na nieszczęście każdy z nich chciał drugiemu narzucić, co znowu doprowadzało do stałych kłótni, wyzwisk etc. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności na mojego przyjaciela mieli duży wzgląd i powiedziałbym czuli przed nim pewien respekt. On też niejednokrotnie był ich wyrocznią. Nie było to dla niego trudne, bo psychologię takich typów znał doskonale i wiedział, jak i kiedy do którego podejść. Przyznam się szczerze, że zaglądałem tam z dużą obawą, aby nie spotkać się z jakimś nieprzyjemnym powiedzonkiem. Muszę jednak powiedzieć, że po raz pierwszy przyjęli moje pojawienie się z dużą rezerwą i zaciekawieniem krytycznym, lecz kiedy powitałem ich w sposób koleżeński, przedstawiając się im, byli bardzo zdziwieni. Odtąd gdziekolwiek mnie spotkali, zawsze się kłaniali i byli bardzo uprzejmi. Nigdy też w mojej obecności nie kłócili się, a jeżeli któremu wyrwało się jakieś nieprzyzwoite słowo, zaraz chwycił się obydwoma rękami za usta i zezował w moją stronę. Szkoda, że tak szybko rozrzucono ten obóz, bo miałem nadzieję przy pomocy przyjaciela coś z tych ludzi zrobić.

Zdołaliśmy nawet dużo w tym krótkim czasie, bo dwóch z nich, dzięki umiejętnie przeprowadzonej rozmowie na temat wykorzystania czasu i nauki, zapisało się do nowo otwartego we Freimanie gimnazjum. Niestety polityka przerzucania ludzi z miejsca na miejsce, nie dozwoliła im zamiaru wykonać. Otóż nie trzeba dodawać, że i ci chłopcy, wiedzieli wszystko o Adelci i Cešku, i sami byli ciekawi zobaczyć w końcu tą cudowną Adelajdę. Po mojej rozmowie i radzie, ogłosił im, że rozpoczyna nowennę do św. Antoniego, i że ten na pewno mu znajdzie Adelcię. Oczywiście posypały się różne dowcipy, powątpiewania i zapytania, co zrobi, gdy się to nie stanie etc. Nie zraziło to przyjaciela. Rozpoczęliśmy się modlić, bo i ja ze swej strony przyrzekłem mu swoją pomoc. Nie pamiętam dokładnie, ile dni upłynęło od rozpoczęcia nowenny, lecz na pewno nie więcej jak siedem. Raz wieczorem, gdy przy pięknej pogodzie słuchałem sobie radia na polu, przybiegł do mnie kolega z mojego pokoju i wołał, abym na gwałt przychodził, bo przybiegł pan Y. z płaczem i chce mi coś powiedzieć. Przyszedłszy do pokoju już go nie za stałem. Poszedłem więc do niego. Po drodze przechodziłem koło naszej kaplicy i miałem wstąpić, gdy drzwi się otworzyły i przyjaciel ze łzami w oczach podał mi kartkę, na której było napisane: „Żyjemy wszyscy zdrowi w Landshucie. Adela”.

\* \* \* \* \*

**[Dziadek].** W obozie miałem dziadka. Nie jest to bujda, ale najprawdziwsza prawda, jeśli ta najprawdziwsza jest lepsza od samej tylko prawdy. Mądrzy zaś ludzie mówią, że aby bronić prawdy, nie można uciekać się do kłamstwa. Otóż i ja nie kłamię.

Zdobyłem go albo używając języka obozowego, zorganizowałem zupełnie przypadkowo. Było to gdzieś w jesieni w 1943 roku. Przenieśli nas wtedy z bloku 30 na 28. Otóż przy tej okazji, kiedy to bałagan przenosinowy zdawał się nie mieć końca, a każdy na nowym miejscu starał się znaleźć najlepsze pozycje, wśród tłumu odkryłem poczciwego staruszka, który kłął jak szewc. To zwróciło moją uwagę na niego, bo chociaż sam nie używałem tego rodzaju powiedzonek, to bardzo lubiłem odwagę takich facetów. Przyglądałem mu się z bliska i bardzo mi się spodobał. Siwy, lecz jeszcze krzepki, choć mały. Powodem jego irytacji był panujący bałagan, z którego on jako mały nie mógł absolutnie wybrnąć, a na dobitkę w zamieszaniu ktoś trącił mu holender z nogi, no i w żaden sposób nie mógł go odnaleźć. Holendry to był rodzaj trzewików zrobionych całkowicie z drewna. Były ogromnie niewygodne, bo męczyły bardzo nogi. Dawano je tym, którzy mieli siedzącą pracę. Zająłem się jego osobą, jakoż gdzieś aż w umywalni znalazłem tego nieszczęsnego, naprawdę jakby latającego holendra. Zapytałem czy się już gdzieś ulokował przy stole i w szafce, a na odpowiedź przeczącą zabrałem go do mojej szafki i usadowiłem na moim miejscu przy stole, zapowiadając innym, że i dla mnie miejsce musi się znaleźć. No cóż, mir trochę miałem, bo byłem już starym obozowiczem. Oczywiście miejsce się znalazło. Byłem tylko w kropce, jak mam go tytułować. Przedstawiając mu się, powiedziałem żartem, że ja już chyba będę dobrodzieja nazywać dziadkiem. Bardzo mu to przypadło do gustu i smaku, i tak już pozostało. Odtąd nie tylko ja, ale nasz cały blok nie nazywał go inaczej, jak dziadek lub dziadzio. Nie byłem zazdrosny, ponieważ i tak wiedziałem, że jeżeli już ma do kogo słabość, to na pewno do mnie. Odtąd żyliśmy razem aż do uwolnienia. Był to kapelan wojskowy, major, który 17 lat spędził w wojsku. Jego siostra była nauczycielką w sąsiedniej wiosce mojej parafii. Więzy więc nasze z tego tytułu bardzo się zacieśniły. Był to naprawdę pewnego rodzaju oryginał. Wszystkie wolne chwile poświęcał na studiowanie muzyki. Przeczytał najmniej przez czas obozu jakieś 100 dzieł naukowych z tej dziedziny, a co najważniejsze robił całe masy wypisków. Poprzednio odrobił w ten sposób historię. W razie zatargów, jak zresztą na rodzzonego dziadka przystało, stawał zawsze po mojej stronie i często gęsto w takich okolicznościach posługiwał się przeciw niezadowolonym swoimi cholewami i innymi z tej dziedziny zapożyczonymi powiedzeniami. A język miał cięty i niezbyt bezpiecznie było się z nim mierzyć. Rzecz prosta i między nami dochodziło w późniejszym pożyciu do pewnych scysji, lecz te były bardzo krótkie, gdyż używaliśmy jednakowej broni, a to na dłuższą metę nudzi. Był on pod pewnymi względami dziwak. Np. chorobliwie nie znosił tłuszczu. Jeszcze świeże masło, to jakoś raz czy dwa skosztował. Natomiast smalcu, za żadne skarby. Byłem nieraz w dużej kropce, bo gdy otrzymał paczkę, a w niej smalec lub suchary przypiekane na smalcu już nie jadł, lecz zaraz wszystko odda-

wał. Gdym się wzbraniał brać, nie prosił, lecz bez słowa zanosił drugiemu, otwierał książkę i zabierał się w dalszym ciągu do muzyki. Opalałem go też niemiłosiernie, bo dostawał bardzo dużo papierosów, lecz sam palił bardzo mało. Chorobliwie dużo używał natomiast pieprzu, papyryki i soli. Wojska nie znosił i zarzekał się, że do wojska już nie wróci. Dzisiaj jest gdzieś w północnych Niemczech. Mimo kilkakrotnych listów, nie mogłem jakoś nawiązać z nim kontaktu. Na zakończenie przypomniało mi się jedno powiedzonko wyżej wzmiankowanego ks. Y. We Feimanie leczyliliśmy dawne nasze rany i odpoczywaliliśmy po przejściach. Dla zabicia czasu grywaliliśmy w bridge'a. Najlepszym partnerem, a zarazem najlepszym towarzyszem w zabawie był właśnie ks. Y. Lubili go wszyscy, a ja specjalnie, co mi zresztą odpłacał z nawiązką. Był jednak i inny typ, który w najlepszym razie powinien był zostać dla swojego nieokrzesanego języka i charakteru raczej jakimś faktorem w ciemnych sprawach (np. przy szabrownictwie). Z tym były stałe scysje przy grze. Trzeba było nieraz bardzo nad sobą panować, aby nie wyrzucić cisnących się na język uwag. Ja lubię sobie zagrać, ale spokojnie, z humorem. Raz przy grze wynikła taka kłótnia, zapoczątkowana właśnie przez tego typu, że rzuciliśmy karty. Przy obiedzie, aby zmienić przykry temat i zatrzeć trochę incydent, typ zaczął opowiadać o Oświęcimiu. Między innymi dziwił się bardzo, że niektórzy przy każdej okazji zbierali baty, podczas gdy on, choć tam był coś 2 lata, nie oberwał ani razu. Trudno było coś odpowiedzieć. Mógł mieć szczęście. Ja np. w Stutthofie nie otrzymałem *porcji* 25, choć moi wszyscy koledzy otrzymali, a niektórzy dwukrotnie. Ale ks. Y. nie wytrzymał. Widziałem, że długo dusił w sobie przykre słowa. Zabrał głos i zupełnie spokojnie powiedział: „ja ci to wytłumaczę. W obozie, aby nie dostać od tych wszystkich zbirów, trzeba było mieć mordę jak zbój. Wtedy ci szubrawcy uważali takiego typu za swojego i nic mu nie robili. Ale gdy ktoś miał delikatniejszą i inteligentniejszą facjatę, to takiego prali ile weszło”. Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, boć lepiej nie mógł takemu odpowiedzieć. Sam typ początkowo nie domyślił się sensu, potem kiedy wreszcie doszło do jego świadomości, wyszedł jak niepyszny, lecz nie obraził się. Tacy są właśnie tacy.

\* \* \* \* \*

**[Komuniści].** Dachau było największym skupiskiem komunistów niemieckich. Niektórzy z nich siedzieli od pierwszych dni dojścia do władzy Hitlera, tzn. od 1933 roku. Było ich jednakowo bardzo mało. Mało było prawdziwych komunistów. Ideowców znałem właściwie 2. Byli to ludzie naprawdę kulturalni i pełni poświęcenia. Jeżeli w moich wspomnieniach poświęcam im trochę miejsca, to li tylko dlatego, że swoją postawą i zachowaniem potrafili zjednać sobie uznanie i szacunek u wszystkich. I ciekawa rzecz, jeżeli w czasie najgorszym dla nas księży polskich mieliśmy kogoś, kto mógł i chciał nam pomóc, to był to właśnie komunista ideowiec, Karol Wagner. Jako budowniczy z zawodu zatrudniał w swojej grupie pracy ponad 200 ludzi, a w tej liczbie było zawsze ponad piętnastu księży. Gdy jakimś księdzu ciężko było pracować gdzie indziej, to szedł do Wagnera. Ten przyjmował go mimo zakazu władz, bodaj na parę dni, aby jeżeli nie mógł

pracować, otrzymał bodaj dodatek żywnościowy dla ciężko pracujących. W jego grupie nigdy nie było bicia, rzadko krzyki, a absolutnie nigdy żadnych karnych meldunków, tak często przez innych komunistów robionych na współwięźniów. Potem utarło się przekonanie, że Wagner jest *Oberprlester*. Miał duże nieprzyjemności od swoich kolegów, ale nigdy nie zmienił zdania. Trzymał się zasady, że każdemu bliźniemu w biedzie trzeba pomagać, obojętnie na przekonania. Miło było słuchać jego dysput z księżmi na różne społeczne i religijne tematy. Był zresztą człowiekiem bardzo wykształconym, może raczej samoukiem, ale nad wyraz inteligentnym i ze sercem, czego wśród Niemców nie spotykało się zbyt często, a już u komunistów nigdy. Kiedy wszyscy byli przeciw nam, Wagner stawał w naszej obronie i dość często stawiał na swoim. Widziałem raz, jak jeden przodownik Niemiec uderzył przy pracy jakiegoś księdza. Wtedy widziałem go naprawdę złym. Po skończonej pracy napiętnował ten postępek publicznie i zapowiedział, że jeżeli jeszcze raz taki incydent będzie miał miejsce, natychmiast takiego osobnika wyrzuci z grupy. Był to okres 1942 roku kwiecień – październik, kiedy bicie za oporną pracę było nakazane przez władze. Był zdania, i tego zdania bronił zawsze, że księża mogą zupełnie dobrze pracować społecznie razem z komunistami, gdyż cele ich są podobne, choć założenia różne. Odpowiadano mu zawsze z uśmiechem, dobrze Karol, ale wtedy wszyscy komuniści muszą być tobą.

Drugim takim ideowcem był Austriak, Karol Frey. Ten był przez jakiś czas naszym blokowym i wtedy mogliśmy trochę odetchnąć. Taki bowiem starszy bloku, z reguły Niemiec i komunista, bardzo uprzykrzał życie wewnątrz bloku. Frey stawał zawsze w naszej obronie i bloku naszego szczęśliwie. Zjednał sobie do tego stopnia szacunek, że potem już po uwolnieniu przyszedł nas Polaków odwiedzić we Freimanie pod Dachau. Zgotowano mu nie lada owacje, że mało nie zapłakał. Był to jedyny z tych blokowych, który wręcz odmówił komendantowi obozu bicia swych współwięźniów. Zagrożono mu karą, ale nie uląkł się i nie bił.

Jeżeli chodzi o innych, to muszę powiedzieć, że najwięcej przykrości mieliśmy właśnie ze strony komunistów. W początkach byli oni największymi mordercami ludzi i najgorszymi pachołkami S.S., w okrucieństwie nawet i ich przewyższający.

\* \* \* \* \*

**[Śmierć, czyli zakończenie]**. Stare greckie przysłowie mówi, że czas jest najlepszym lekarzem. Oczywiście lekarzem na wszystkie choroby i dolegliwości. Jest to powiedzenie słuszne i niesłuszne. Słuszne, bo podchwycili je Rzymianie i to samo powiedzieli w trochę innej formie: czasy się zmieniają, a my zmieniamy się w nich. Miałem w możności doświadczyć na sobie prawdziwości tego powiedzenia.

W obozie i poza obozem nikt nie jest zdolny przyzwyczaić się do głodu i do śmierci. Te dwie rzeczy są zawsze aktualne, jak długo w człowieku żarzy się bodaj iskierka życia. Te dwa zagadnienia łączą się ze sobą zresztą bardzo ściśle, gdyż jedno jest następstwem drugiego. Instynkt do zachowania życia jest tak wielki u każdego człowieka, że to przechodzi pojęcie. Miałem sposobność i ten



objaw zaobserwować. Taki namacalny przykład widziałem zaraz w początkach w Sachsenhausen. Był tam jeden student filozofii, rodem z Pomorza. W chwili arestowania był już w ostatnim stadium gruźlicy. W obozie dogorywał. Rozmawiałem z nim kilka razy, bo mi go było bardzo żal. Miał lat 23, dwa lata studiów i śmierć. Rzeczywiście wyglądał jak kościotrup. Po obozowemu powiedziawszy: skóra, kości i nazwisko lub numer. Kiedy się mył, zdawało się, że kości porwą na nim nieprawdopodobnie naciągniętą skórę. Mówić już prawie nie mógł, ale oczy te gorzały jak pochodnie. W rozmowie nigdy nie mówił o śmierci, lecz o kontynuowaniu dalszych studiów. Kiedy raz niebacznie, wyraziłem wątpliwość, co do dalszych możliwości jego kształcenia, zaśmiał się cicho i powiedział mi bardzo naiwnie: „To mnie nie znacie kolego!” Rzeczywiście nie znałem go, a i poznać nie miałem już okazji, bo po trzech dniach odnieśli już trupa. Dziwna rzecz, że od chwili śmierci leżał jakieś 2-3 godziny na bloku. Potem odnieśli go do krematorium i po drodze odżył. Niestety na jedną tylko godzinę. Tyle w tym człowieku było woli życia, Niestety przemożny bakcyl ujarzmił i tę.

W Dachau skończył w podobny sposób życie inny student. Ten stale powtarzał: „ja muszę, w taki czy inny sposób przejść przez obóz”. Było to w czasach najcięższych. Szczęście dopisywało mu jak nikomu. Niestety wyroki Boże inny mu los gotowały, bo po przeziębieniu poszedł do szpitala i tam już skończył. Do ostatniej chwili powtarzał uparcie, że przetrzyma.

Ale nie tylko młodzi mieli taką silną chęć życia. Ten sam objaw można było zauważyć u ludzi starszych, a nawet starców. Było to najboleśniejsze uczucie widzieć człowieka dogorywającego, a nie móc mu dopomóc. Wielu można było ocalić, gdyby były dostępne najprostsze środki zaradcze, a w bardzo wielu wypadkach kawałek chleba tylko.

Obawę przed śmiercią w obozie potęgowała jeszcze myśl, że ciało spalą w krematorium. Było to uczucie bardzo nieprzyjemne. Tak długo, jak nie widziałem na własne oczy, jak się ta cała historia w krematorium odbywa, poza normalnym lękiem śmierci, nie odczuwałem innego. Kiedy zobaczyłem jednak trupy w piecu i ten makabryczny jakiś taniec spalanych ciał, nabrałem ogromnego nie tyle lęku, co wstrętu do tego nieludzkiego traktowania ciał zmarłych. Przecież to była profanacja. Widok samej śmierci nie robił na więźniach specjalnego wrażenia. Codzienny widok zmarłych stępił po pierwsze sam szacunek jakim otacza się ciała zmarłych, a po drugie wyeliminowały ten jakiś lęk nadprzyrodzony. Nie znalazłby się chyba człowiek w obozie, któryby robił sobie coś z trupa, choćby ten był nawet jego sąsiadem w łóżku i przez całą noc musiał leżeć koło niego. Ileż to razy już w ostatnich czasach widziałem jak na gołych trupach siadano z braku stołków, aby jakoś wygodniej jeść obiad czy kolację. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale właśnie całe życie obozowe składało się z takich niepodobieństw. Wynikałoby z tego, że i w tym wypadku czas potrafił zniszczyć lęk przed śmiercią. Nie. Lęku i obawy mimo tych wszystkich wynaturzeń czas nie wyeliminował. Wyeliminowanie bowiem pewnych delikatniejszych uczuć czy nawyków nie szło w parze z zanikiem lęku. Owszem każdy więzień zdawał sobie sprawę, że taki sam koniec, jaki dzisiaj spotkał kolegę, może jutro jego spotkać. I to raczej potęgowało lęk przed śmiercią. Być może nie każdy sobie jasno zdawał z tego sprawę,

ale wystarczyło rzucić parę pytań, by się przekonać, że ten lęk jest. Bywały wypadki zupełnego zubożenia i raczej wyczekiwania na śmierć, lecz to były momenty końcowe, kiedy cierpienie fizyczne całkowicie złamało danego osobnika. W takim stanie jedynym lekarstwem była śmierć.

Na zakończenie tego tematu parę jeszcze słów, jak umierali ludzie w obozach. Można zaryzykować powiedzenie, że na te kilka milionów ofiar niemieckich obozów koncentracyjnych, jakieś 85 na sto umierało dlatego, że się dostali do obozu. Na wolności na pewno ten okres wojenny jakoś by przetrzymali, w obozie czekała na nich nie tylko ta śmierć naturalna, ale w większości wypadków śmierć nakazana, po prostu morderstwo na człowieku dokonane. A sposobów mordowania było tyle, ile mentalność, rozbestwienie i krwiożerczość danych siepaczy mogła wymyśleć.

grudzień 1946 – styczeń 1947